

Taylor Jennifer

Dotyk anioła

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Zdaję sobie sprawę, że dostała pani tę wiadomość w ostatniej chwili, dlatego nie będę zaskoczony, jeśli pani odmówi. Niestety, dopiero wczoraj późnym wieczorem dowiedziałem się, że Yvonne nie nadaje się jeszcze do dalekiej podróży. Dwie doby to niewiele czasu na przygotowanie się do takiego wyjazdu, więc jeśli pani nie zdąży, proszę mi śmiało powiedzieć.

- Zdążę - odparła Meg Andrews stanowczo, lecz zaniepokoił ją brak przekonania w głosie rozmówcy.

Jack Trent, szef grupy lekarzy i koordynator wyjazdu w ramach misji humanitarnej, rozmawiał z nią tak, jakby chciał ją zniechęcić. Już podczas rozmowy wstępnej odnosił się do niej z rezerwą. Nie rozumiała takiego zachowania, zwłaszcza że doświadczenie zdobyte w szpitalu w Dalverston czyniło z niej idealną kandydatkę do pracy za granicą.

Szybko odsunęła od siebie te myśli. Zamiast zgadywać, o co chodzi Trentowi, powinna raczej pomyśleć o sprawach konkretnych. Na przykład o tym, dokąd ją wyślą. Kiedy w piśmie medycznym przeczytała ogłoszenie, że biuro pośrednictwa pracy dla wykwalifikowanych pielęgniarek organizuje nabór chętnych do wyjazdu na zagraniczny kontrakt, od razu wiedziała, że to coś dla niej.

Wprawdzie lubiła swą obecną pracę, ale wyjazd w ramach akcji Lekarze bez Granic stanowił szczególne wyzwanie.

Przedstawiciele agencji zaprosili ją na rozmowę wstępną,

a potem zapadła cisza. Uzbroiła się więc w cierpliwość i spokojnie czekała. Zdawało jej się, że upłynęły miesiące, nim wreszcie dziś, ni z tego, ni z owego, zadzwonili z propozycją.

- Dokąd jedziemy? - zapytała przejęta.

Gdy mimochodem zerknęła w lustro, zobaczyła nienaturalnie błyszczące oczy. Zupełnie jak nastolatka przed pierwszą randką! Pora nauczyć się powściągliwości, pomyślała. Mniej entuzjazmu, więcej opanowania.

- Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć? - Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że przestała go słuchać.

- Jedziemy do Onkamby. Nie dziwię się, że nigdy pani nie słyszała tej nazwy. Jest to miniaturowe państewko w południowo-wschodniej Afryce. Na mapie nie jest większe niż łebek od szpilki.

Wyważony głos płynący z drugiej strony kabła był dokładnie taki jak sam Jack Trent - chłodny, zwięzły, bezosobowy. Słuchając go, wyobraziła sobie schludny gabinet, w którym pracował. W duchu dziękowała Bogu, że wideofony nie są jeszcze w powszechnym użyciu. Gdyby doktor Trent mógł zajrzeć do jej mieszkania i zobaczyć panujący w nim rozgardiasz, pewnie skrzywiłby się z niesmakiem.

Odruchowo zerknęła na swój niezbyt wyszukany strój, składający się z rozciągniętego T-shirtu i spranych dżinsów z dziurami na kolanach. Przypomniała sobie, jak starannie był ubrany Trent, kiedy się spotkali. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur i nieskazitelnie białą koszulę, a do tego gustowny krawat. Chodzący profesjonalista, nic dodać, nic ująć.

Przy tym wyglądał naprawdę interesująco. Domyślała się, że efekt został osiągnięty przypadkowo, bo nie podejrzewała, by miał czas i ochotę zawracać sobie głowę strojami. Musiała przyznać, że zrobił wtedy na niej spore wrażenie, i często o nim potem myślała.

- Rozumiem - wtrąciła inteligentnie, gdy zrobił pauzę - że nie znajdę zbyt wielu informacji na temat Onkamby.

- Niestety. Jeśli naprawdę chce pani dowiedzieć się czegoś więcej, chętnie udostępnię to, co udało nam się zebrać.

Powiedział to w taki sposób, jakby w głębi ducha powątpiewał w szczerść jej zainteresowania. Zirykowało ją to. Jak mogłaby nie być ciekawa kraju, w którym miała żyć i pracować przez najbliższe trzy miesiące?

- Chętnie się z tym zapoznam. Nie wyobrażam sobie, żebym miała pojechać do Onkamby, nie dowiedziawszy się przedtem niczego na przykład o mieszkańcach.

- Bardzo słusznie - pochwalił ją jak grzeczną uczennicę.

Po raz pierwszy odezwał się do niej ciepło. Nie przypuszczała, że ma taki ładny, głęboki głos, bo do tej pory zwracał się do niej wyłącznie suchym, służbowym tonem.

- Pracując za granicą, zawsze trzeba się liczyć z lokalnymi zwyczajami i tradycją - mówił. - Zwłaszcza my, lekarze, musimy pamiętać, że nie wolno nam narzucać swoich przekonań, bo moglibyśmy przez to zrazić do siebie ludzi, którym mamy pomagać.

- Też tak myślę - zgodziła się. - Czasem kusi człowieka, żeby dyktować innym, co mają robić. Dlatego ciągle trzeba sobie przypominać, że to, co jest akceptowane w naszej kulturze, w innych stronach świata może być nie do przyjęcia.

- Właśnie. Cieszę się, że pani to rozumie.

Cieszy się, ale też jest zaskoczony, stwierdziła. Czyżby należał do tych lekarzy, którzy nie mają dobrego mniemania o pielęgniarzach? Na myśl o tym zrobiło jej się nieprzyjemnie. Kilka razy pracowała z lekarzami, którym wydawało się, że pielęgniarzka jest po to, by potulnie wykonywać polecenia. Jeżeli okaże się, że Jack Trent należy do takich zarozumiał-

ców, ona już się postara, by szybko zmienić zdanie na temat roli i pozycji personelu pomocniczego.

- Zapewniam pana, że doskonale rozumiem specyfikę pracy w krajach trzeciego świata - powiedziała sucho. - Wiem, że na przybysza z Zachodu czyha tam wiele pułapek. Umieję je omijać.

- Doprawdy? - Sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Doprawdy! - powtórzyła, zła, że sobie z niej drwił. Jeszcze chwila, i uda mu się wyprowadzić ją z równowagi. Byłaby to nie lada sztuka, bo wszyscy, którzy ją znali, wiedzieli, że na jej spokój zawsze można liczyć. - Oczywiście wie pan, że dotąd nie pracowałam poza krajem. Dlatego zanim zgłosiłam się do agencji, przemyślałam wszystko. Uważam, że jestem dobrze przygotowana i że nie popełnię rażących błędów.

- To dobrze. Uprzedzam jednak, że pani wyobrażenia mogą mocno różnić się z rzeczywistością. - Znowu mówił niemiłym, zniechęcającym tonem. - Radziłbym nie polegać za bardzo na swoich wizjach, panno Andrews. Dzięki temu uniknie pani wielu rozczarowań.

- Przepraszam, doktorze, ale co właściwie ma pan na myśli? Sugeruje pan, że nie wiem, że będziemy pracowali w ekstremalnych warunkach? Albo że nie mam pojęcia, jak wygląda skrajna nędza i zacięcie? Może zdaje się panu, że jadę do Afryki, bo zachciało mi się odegrać romantyczną rolę siostry miłosierdzia?

- Mam na myśli tylko to, co przed chwilą powiedziałem. Proszę sobie niczego nie wyobrażać, dopóki nie dotrze pani na miejsce - odparł spokojnie.

- Wezmę sobie do serca pańskie uwagi, doktorze - rzekła chłodno. - Jestem nowa w pańskim zespole, więc tym chętniej posłucham rad.

- Cieszy mnie to, panno Andrews. Jest jeszcze jedno, na co chciałbym zwrócić pani uwagę. Członkowie zespołu muszą ściśle ze sobą współpracować. Najważniejsze jest zgranie całej ekipy, więc trzeba wykazać się elastycznością. Uprzedzam, że nie będzie czasu na dopieszczanie każdego z osobna.

Kategoryczny ton nie pozostawiał złudzeń, że ostrzeżenie trzeba potraktować poważnie. Podczas pierwszego spotkania zwróciła uwagę na niesłychaną pewność siebie doktora Tren-ta. Domyśliła się, że w pracy nie uznaje on żadnych kompromisów. Tak samo pewnie jest w innych sferach jego życia. Ale co ją obchodzą prywatne sprawy tego człowieka? Zależało jej na tym, by przyjął ją do zespołu, i nic więcej.

- Rozumiem, doktorze, i jeszcze raz zapewniam, że umiem pracować w zespole. Czy mogłabym otrzymać informacje na temat Onkamby jeszcze przed wyjazdem?

- Wyślę je pani faksem do szpitala, dobrze?

- Oczywiście. Proszę je przesłać do Rogera Hopkinsa, szefa personelu na chirurgii. Numer faksu znajdzie pan w moim podaniu.

- Tak, mam je przed sobą. - W słuchawce zaszeleścił papier. - Skoro jest pani pewna, że zdąży się przygotować do wyjazdu, to możemy zakończyć tę rozmowę. Nie muszę chyba pytać, czy ma pani ważny paszport i wymagane szczepienia?

- Mam jedno i drugie!

Albo uważał ją za skończoną idiotkę, albo rozpaczliwie szukał pretekstu, by ją zdyskwalifikować. Teraz nie miała już wątpliwości. On nie chce, by jechała do Onkamby. Ta świadomość bardzo ją zaniepokoiła, ale postanowiła zachować swoje obawy dla siebie. Gdyby zapytała go o to wprost, na pewno by zaprzeczył. Tak czy owak, ta zagadkowa niechęć przyszłego szefa nie wróżyła zbyt dobrze na przyszłość.

- Dobrze - rzucił krótko. - Teraz, kiedy wiem, że pani je-

dzie, pozostało mi już tylko załatwić dla pani wizę. Wylatujemy z Manchesteru w czwartek o szóstej wieczorem. Proszę być na lotnisku dwie godziny wcześniej. I w miarę możliwości ograniczyć bagaż do niezbędnego minimum. Mamy bardzo dużo sprzętu, więc będzie nam potrzebny każdy centymetr.

- Musimy zabrać wszystko ze sobą?

- Nie wszystko. - Głos w słuchawce znowu złagodniał. Wyczuła w nim podniecenie, niecierpliwe oczekiwanie na przygodę. A więc ten sztywny facet potrafi się cieszyć jak dziecko?

Spróbowała wyobrazić sobie, jak wygląda jego uśmiech. Wizja była tak sugestywna, że serce zabiło jej mocniej. Speszona, mocno zagryzła wargi. Jack Trent jest przystojny, nawet bardzo, ale to jeszcze nie powód, by zaraz dostawać palpacji serca! Podczas gdy ona bujała w obłokach, on opowiadał o szczegółach organizacyjnych.

- Nie sądziłem, że uda nam się to wszystko załatwić, ale czasem cuda się zdarzają - ciągnął. - Na pokładzie będziemy mieli całe niezbędne wyposażenie, czyli gabinety do badań, dwie sale operacyjne, nawet mały oddział szpitalny, na wypadek, gdyby trzeba było zostawić kogoś na obserwacji. Oczywiście będą tam również pomieszczenia mieszkalne.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, o jakim pokładzie pan mówi?

- To ja przepraszam. - Po raz pierwszy roześmiał się swobodnie. - Siedzę w tym już od roku, więc czasem zapominam, że nie wszyscy są tak dobrze zorientowani jak ja. W Onkambie będziemy się poruszali specjalnym pociągiem. Taką staroświecką ciuchcią na węgiel. Dzięki niej dotrzemy do wszystkich zakątków kraju.

- Ciuchcią?

- Wiem, brzmi nieprawdopodobnie - przytaknął rozbawiony. - Nasz pociąg to prawdziwy dziewiętnastowieczny zabytek. Kiedyś trafił na zapomnianą bocznice, gdzie miała stoczyć go rdza. Całe szczęście nowy przywódca Onkamby postanowił zrobić coś pożytecznego dla kraju. Szczerze mówiąc, tylko dzięki jego determinacji nasz program mógł ruszyć z miejsca. -W jego głosie zabrzmiał podziw. - Skontaktował się z naszą agencją i poprosił o pomoc. Wyjaśnił, że pociąg będzie najlepszym środkiem lokomocji, bo pod rządami jego poprzednika drogi w całym kraju popadły w taką ruinę, że podróżowanie samochodem nie wchodzi w grę. Musieliśmy tylko zdobyć środki na remont parowozu i adaptację wagonów. Organizacje charytatywne pomogły nam zebrać fundusze. - Zrobił pauzę, a kiedy znowu się odezwał, w jego głosie nie było już entuzjazmu. - Tak więc, panno Andrews, naszą bazą będzie „Anioł z Onkamby”. Tak nazwaliśmy ten pociąg. Będziemy w nim pracować, mieszkać, jeść, spać, jednym słowem, żyć. Będzie nam znacznie wygodniej, niż gdybyśmy mieli rozbijać obozowisko w buszu, ale i tak warunki będą spartańskie. Dlatego jeszcze raz zapytam, czy jest pani pewna, że chce jechać?

- Coś mi się zdaje, że Uczy pan na moją odmowę. - Roześmiała się z przymusem, który na pewno wyczuł. Nie chciała dłużej bawić się w kotka i myszkę, zresztą złość, którą czuła, musiała znaleźć ujście. Zacisnęła palce na słuchawce i przycisnęła ją z całych sił do policzka. - Niech mnie pan posłucha, doktorze. Jestem w stu procentach pewna swojej decyzji. Chcę jechać. I nie odstrasza mnie brak luksusów. Może to pana zaskoczy, ale zależy mi tylko na pracy. Zgłosiłam się do agencji wyłącznie po to, żeby spróbować ulżyć ludzkiemu cierpieniu.

Zamilkła, bo bała się, że zdradzi ją drżenie głosu. Nie chciała, żeby doktor Trent wziął ją za histeryczkę.

- W takim razie spotkamy się w czwartek na lotnisku. Do zobaczenia, panno Andrews - rzekł chłodno.

Połączenie zostało przerwane, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Odłożyła słuchawkę, żałując w duchu, że pozwoliła sobie na tak emocjonalne wystąpienie. Chociaż z drugiej strony, byłoby dobrze, gdyby szanowny pan doktor wziął sobie do serca jej słowa. Czy mu się to podoba, czy nie, ona nie zamierza rezygnować z wyjazdu.

Przygotowywała się do wieczornego obchodu, gdy do pokoju pielęgniarek weszła Maggie Carr. Znały się i lubiły od dawna, nic więc dziwnego, że natychmiast opowiedziała jej o swojej porannej rozmowie.

- Jack Trent! To ten, którego widziałam wczoraj w telewizji? - spytała Maggie z niedowierzaniem.

- Nie wiem, bo nie oglądałam wczoraj telewizji. Wzięłam się za malowanie kuchni - odparła, wzruszywszy ramionami.

- Cała ty! - Maggie wzniosła oczy do nieba. - Wiedziałam, że przegapisz ten program. W każdym razie facet, no wiesz, ten Trent, byj bardzo przystojny. Co ja mówię?! Cholernie przystojny! Taki typ gburowatego twardziela, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi?

- Gburowatego twardziela? Wiesz, że coś w tym jest -mruknęła niewyraźnie, bo właśnie wciągała przez głowę bluzę od szpitalnego stroju. - Nie powiem, żeby podczas naszej rozmowy był socjalnie wylewny. Szczerze mówiąc, nie jest zachwycony, że z nimi jadę.

- Poważnie? - Maggie zastygła z grzebieniem zaplątanym we włosy. - Co to znaczy: nie jest zachwycony? Przecież z twoim doświadczeniem i praktyką jesteś dla niego skarbem! Ten facet z telewizji mówił, że chirurgia będzie

najważniejszym oddziałem tego polowego szpitala. Swoją drogą, czy ten Trent nie jest czasem okulista?

- Owszem. Jest ordynatorem okulistyki w szpitalu Świętego Augustyna, a prócz tego szefuje agencji, która organizuje pomoc humanitarną. O ile wiem, prowadzi także zajęcia ze studentami u nas albo za granicą.

- Nieźle. Tylko że tacy faceci rzadko miewają czas na życie prywatne - prychnęła Maggie. - Aż szkoda, żeby taki fantastyczny okaz się marnował. Jak się będzie czepiał, daj mu nauczkę. Zamiast wybrzydzać, powinien Bogu dziękować, że taka fantastyczna dziewczyna chce z nim pracować.

- 'Dzięki za dobre słowo. Możesz mi to dać na piśmie? Na wypadek, gdyby w Afryce brakowało mi duchowego wsparcia?

- Co, boisz się, że nie będzie miał kto cię chwalić? - Maggie mrugnęła porozumiewawczo do przyjaciółki, co Meg zbyła obojętnym ruchem ramion. - Przyznaj się, Meg, denerwujesz się trochę tym wyjazdem - ciągnęła Maggie, kiedy szły na oddział.

- Niezupełnie - odparła Meg. - A co do Trenta, to faktycznie skorzystam z twojej rady i z przyjemnością pokażę mu, gdzie jego miejsce.

- Zuch dziewczyna! - Meggie z całej siły klepnęła ją w łopatki. - Co dobrego, pani Watkins? - zagadnęła wesoło, gdy obie zatrzymały się przy łóżku jednej z pacjentek.

- Czołem, dziewczynki! - Kobieta powitała je wesoło. - Pewnie gadacie o chłopakach, co? Jak tam, Meg, czyżby któryś za bardzo dał ci się we znaki?

Meg uśmiechnęła się kwaśno.

- Nie mówiłyśmy o moim chłopaku, pani Watkins, tylko o człowieku, z którym będę pracowała - wyjaśniła, po czym w skrócie opowiedziała o swoim wyjeździe do Afryki.

- Wielkie nieba! Odważna jesteś, że piszesz się na coś

takiego. - Pani Watkins złapała się za głowę. - Ja bym się chyba nie odważyła. A bo to wiadomo, co człowiek może złapać w takim dzikim kraju? Powiedz mi, co cię napadło? Źle ci tu z nami?

- Wręcz przeciwnie. - Meg dotknęła jej dłoni. - Ale czuję, że pora spróbować czegoś nowego. Zresztą nie odchodzę stąd na zawsze. Nie będzie mnie tylko trzy miesiące.

- A co na to twój chłopak? - zainteresowała się pani Watkins. - Pozwala ci jechać? Nie boi się o ciebie? Założę się, że nie jest zachwycony tym pomysłem.

- Całe szczęście, że nie mam chłopaka, więc nikt nie będzie musiał się o mnie martwić - roześmiała się Meg. - Jestem wolna jak ptak i mogę jechać choćby na koniec świata. I dlatego korzystam z okazji, póki mogę. Jak będę miała męża i dzieci, to będę z nimi siedziała w domu.

- Ach, wy młodzi! - westchnęła pani Watkins. - Cóż, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Kiedy wyjeżdżasz?

- W czwartek wieczorem. - Meg nie była zdenerwowana, ale raptem zadrżały jej ręce.

- Przygotowaliście dla niej jakieś pożegnanie? - Pani Watkins spojrzała pytająco na Maggie.

- A wie pani, że jeszcze nie! - przyznała się dziewczyna. - Ale na pewno zaraz coś wykombinujemy. Że też nie pomyślałam o tym wcześniej! - Kręciła głową z niedowierzaniem. Widząc, że Meg chce coś powiedzieć, dodała: - Już ty nic nie mów. Urządę ci takie pożegnanie, że zapamiętasz je do końca życia.

- Coś mi mówi, że będę tego gorzko żałować - jęknęła Meg.

I faktycznie. W drodze na lotnisko myślała o tym, że całe to pożegnanie było jej potrzebne jak dziura w moście. Nie dość, że miała mało czasu na pakowanie walizek, bo poprze-

dniego dnia siedziała do późna w szpitalu, a po powrocie do domu zmagala się z remontem, to jeszcze na dokładkę dała się namówić na pożegnalny rajd po nocnych klubach. Efekt był taki, że po powrocie do domu nie tylko padała z nóg, lecz także bolała ją głowa, a hinduskie dania ciążyły na żołądku. Kilka godzin snu nie wystarczyło, by poprawić kiepskie samopoczucie.

Gdy taksówka zatrzymała się przed halą odlotów, z ulgą wysiadła z dusznego samochodu. Parę głębokich oddechów i na pewno poczuje się lepiej, pocieszała się w duchu. Nagle tuż za plecami usłyszała zniecierpliwiony głos.

- No, nareszcie! Czy pani jest niepoważna? Przecież wyraźnie powiedziałem, że ma pani być na lotnisku dwie godziny przed odlotem!

Jack Trent pewnie wcale na nią nie wrzeszczał, ale w jej obolałej głowie jego podniesiony głos brzmiał jak warkot odrzutowego silnika. Mimo woli przyłożyła palce do skroni i odwróciła się w jego stronę. Był na nią wściekły. I za co? Za to, że przyjechała pięć minut przed czasem? Czy może raczej za to, że w ogóle przyjechała?

- O co chodzi, doktorze? Jest za pięć czwarta. - Zmobilizowała się, by mówić spokojnie. - Przecież jestem punktualnie, więc nie widzę powodów, żeby miał się pan aż tak denerwować.

- I tu się pani myli, panno Andrews. Start samolotu został przyspieszony. Wylatujemy za niecałą godzinę. Czekamy tylko na panią. Proszę natychmiast zgłosić się do odprawy paszportowej, bo bez pani nie możemy nadać bagażu - wyrzucił z siebie jednym tchem i obróciwszy się na pięcie, chciał wejść do hali, ale chwyciła go za rękę.

Odwrócił się zaskoczony i przez moment wpatrywał się w dłoń zaciśniętą na rękawie marynarki. Potem podniósł na

nią wzrok. Nie było to przyjemne spojrzenie, ale nie cofnęła dłoni. Nie chciała, żeby pomyślał, że się go boi.

- Niech pan mi powie, doktorze, co pan ma przeciwko mnie. Przecież widzę, że nie jest pan zadowolony, że z wami jadę. Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie, nie uważa pan? - odezwała się spokojnie.

Opanowanie dodało jej pewności siebie. Jeśli jednak udało jej się zrobić wrażenie na Trencie, nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechnął się tylko niewyraźnie, jakby drwiąco.

- Dobrze, skoro domaga się pani wyjaśnień, zaraz je pani otrzyma. Nie będę ukrywał, że gdyby zależało to ode mnie, nie dostałaby pani tej pracy. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

To bezceremonialne stwierdzenie podziało na nią jak kubek zimnej wody.

- Ale dlaczego? - zapytała bezradnie. - Nie rozumiem, skąd ta niechęć. Przecież widział pan moje referencje. Wie pan, że są doskonałe. W dodatku zdobyłam je, pracując na jednym z najtrudniejszych oddziałów. Jak może pan mówić takie rzeczy?

Niecierpliwie wrzucił ramionami, uwalniając się przy okazji z uścisku. Już nie próbowała go zatrzymać. Patrzyła tylko na niego z niedowierzaniem, a w jej szeroko otwartych oczach malowało się zdumienie i ból zranionej miłości własnej. Odwrócił się od niej, jakby uciekał przed tym oskarżycielskim, urażonym wzrokiem. Gdy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała dziwnie smutna nuta, która mogła sugerować, że żałuje swej szorstkości.

- Po prostu nie wierzę, że pani sobie poradzi. Może pani mieć najlepsze referencje i doświadczenie, ale i tak wiem swoje. Praca w kraju a praca za granicą, na dodatek w czarnej Afryce, to zupełnie inna historia.

- Przecież ja o tym wiem! Już o tym rozmawialiśmy!

- Owszem, ale ja nadal twierdę, że pani wyobrażenia nijak się mają do realiów - uciął krótko. - Nikt nie wie, na czym polega ta praca, dopóki nie doświadczy wszystkiego na własnej skórze. Pewnie widziała pani w telewizji niejeden reportaż o lekarzach z organizacji humanitarnych. Problem polega na tym, że prawda wygląda zupełnie inaczej.

- Wierzę panu - zapewniła żarliwie. - I rozumiem, że wiele muszę się jeszcze nauczyć. Jestem gotowa podjąć wyzwanie. Dlaczego nie chce pan dać mi szansy?

- W naszej wyprawie nie ma miejsca dla amatorów. Tu każdy od samego początku musi dać z siebie wszystko - powiedział wyraźnie zniecierpliwiony.

- Ja to potrafię! - Czują, że przestaje nad sobą panować, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem albo dostanie ataku wściekłości, toteż powtarzała sobie, że prędzej przejdzie po rozżarzonych węglach, niż rozklei się w obecności Trenta. -A co będzie, jeśli okaże się, że pan się mylił?

- Wtedy panią przeproszę. Teraz nie mamy czasu na jałowe dyskusje. - Schylił się po jej torbę i szybko wszedł do środka. Wyprostowała się i śmiało ruszyła za nim, choć w głębi ducha czuła się jak skazaniec w drodze na szafot.

W perspektywie miała trzy miesiące pracy pod komendą człowieka, który otwarcie wątpił w jej możliwości. Gdyby nie to, że za żadne skarby nie chciała dać mu satysfakcji, najchętniej by się wycofała. Tylko że rejterada nie była w jej stylu. Mniejsza o ewentualne przeprosiny. Już ona dopilnuje, żeby doktor Trent odszczekał wszystko, co jej przed chwilą naopowiadał. A przy okazji nauczy go większej pokory.

ROZDZIAŁ DRUGI

Podróż trwała tak długo, że Meg straciła w końcu rachubę czasu i nie potrafiła powiedzieć, ile godzin byli w drodze. Z Manchesteru polecili do Johannesburga, gdzie przesiadli się do samolotu lokalnych Unii lotniczych, którym dotarli do małego polowego lotniska na skraju buszu. Tam czekały na nich trzy rozklekotane ciężarówki. Mimo że wszyscy czuli się potwornie zmęczeni, przed zapadnięciem zmroku musieli pokonać jeszcze około pięćdziesięciu kilometrów. Tyle bowiem dzieliło ich od granicy Onkamby, gdzie mieli zatrzymać się na noc.

- Najgorsze dopiero przed nami! - westchnęła Lesly Johnson, siadając na skrzyni ze sprzętem.

Na jej sympatycznej, piegowatej twarzy widać było ogromne znużenie. Lesly była jedną z dwóch pielęgniarek które prócz Meg miały pracować w zespole. W swojej karierze odbyła już kilka takich wypraw, miała więc o czym opowiadać podczas długiego lotu. Sporo starsza od Meg była dla niej bardzo miła i robiła wszystko, żeby ta czuła się w grupie jak najlepiej. Pozostali członkowie ekipy również byli sympatyczni. Dlatego Meg cieszyła się, że tak szybko nawiązała z nimi kontakt.

Jedynie Jack Trent nadal traktował ją jak czarną owcę. Nie chciała o tym myśleć, a raczej nie chciała o nim myśleć jednak mimo woli ciągle zerkała w jego stronę. Bez trudu wysledziła go w grupie mężczyzn ładujących sprzęt na ciężarówki.

zarówki i dyskretnie śledziła każdy jego ruch. Nawet gdyby w stroju safari stał się zupełnie niewidoczny na tle afrykańskiego krajobrazu, jej wewnętrzny radar i tak by go zaraz namierzył.

- Dlaczego mówisz, że teraz będzie najgorzej? - zapytała swą nową koleżankę, żeby zająć myślenie czymś innym.

- Ostatni etap zawsze najbardziej się dłuży - odparła Lesly. - Niby zostało nam niecałe pięćdziesiąt kilometrów, ale sama zobaczysz, jak to się będzie wlokło. O ile znam życie, nie obędzie się bez opóźnień i kłopotów. Dlatego zamiast zacząć pracę już jutro, przesiedzimy beczynnym kilka dni. Mówię ci, lot z Anghi do Afryki to bułka z masłem w porównaniu z tym, co nas czeka na tutejszych wertepach.

- Nie załamuj mnie, Lesly! - jęknęła. - A ja się łudziłam, że jeszcze parę godzin i zafunduję sobie gorącą kąpiel z pianką! - Westchnęła i schyliła się, by otrzepać z pyłu nogawki dżinsów. Gdy podniosła głowę, na spękanej ziemi pomiędzy nią a Lesly pojawił się cień. Jack Trent spoglądał na nią z taką miną, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem!

- Gorąca kąpiel to luksus, o jakim musi pani zapomnieć na całe trzy miesiące - rzekł ponuro. - Uprzedzałem panią...

- Pamiętam - odparła, siląc się na uśmiech, który miał ukryć zakłopotanie. I gorycz, że kolejny raz zdołał sprawić jej przykrość. Nie bardzo wiedziała, jak ma zareagować: podjąć wyzwanie czy zacząć się tłumaczyć. Na szczęście Lesly wybawiła ją z kłopotu.

- Proszę pani? Doktorze? Co wy jesteście tacy formalni? Zwłaszcza w takich warunkach! -

Machnęła ręką w stronę rozgardiaszu przy ciężarówkach. - A może wam się zdaje, że jesteśmy na przyjęciu u królowej? Dajcie sobie spokój z grzecznościami i zacznijcie mówić do siebie jak ludzie. To

Meg wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby mówił pan do mnie Meg - rzekła po chwili wahania. - Nawet tak wolę.

- Dobrze, proszę mówić do mnie po imieniu - odparł a potem szybko odwrócił się i zawołał: - Hej Chodźcie tu wszyscy. Za chwilę będziemy gotowi do odjazdu. Szef kierowców obiecał mi, że około siedemnastej będziemy na miejscu.

- Aha, prędzej mi tu kaktus wyrośnie! - skomentował anestezjolog Rory O'Donnell ku uciesze reszty grupy.

Jack tym razem wykazał się poczuciem humoru i przyłączył się do ogólnej radości. Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, tak zupełnie innej, gdy śmiech złagodził surowość rysów. A może to tylko w jej obecności był zawsze taki nieprzystępny? Może ludzie, których lubił i szanował, znali go z zupełnie innej strony? Jeszcze chwila i się rozpłaczę, pomyślała zirytowana i szybko poderwała się z miejsca.

Jej koledzy zaczęli już sadzić się w ciężarówkach więc czym prędzej do nich dołączyła. Rory pomagał Kate' Gregory, trzeciej pielęgniarsce, wdrapać się do wysokiej kabiny, a że przy okazji podtrzymał ją za obfite pośladki nie omieszkał zrobić jakiegoś złośliwego komentarza. Kate nie tylko nie wyglądała na obrażoną, ale widocznie zrewanżowała się dowcipną ripostą, bo rozległa się kolejna salwa śmiechu. Widac było, że ci ludzie się lubią i dzięki temu bez problemu stworzą zgrany zespół. Ta myśl dodała jej otuchy. Do diabła z Trentem, świat się na nim nie kończy. Najważniejsze, że pozostali są fajni. A co do tego nadętego doktora, to nie pozwoli, żeby zepsuł jej cały wyjazd.

- Słuchaj, Meg, chciałbym omówić z tobą parę spraw, więc pojedziesz ze mną. - Swoim zwyczajem wyrzucił to jak komendę i nie czekając na odpowiedź, poszedł do samochodu.

Wahała się przez chwilę, jednak nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna wymówka. Przecież nie mogła powiedzieć, że nie chce z nim jechać, bo swoimi uwagami wpędzają w kompleksy.

Dlatego posłusznie ruszyła za nim, czerwieniąc się na samą myśl o tym, co będzie, jeżeli pomoże jej przy wsiadaniu w taki sposób, w jaki przed chwilą robił to Rory. Nic takiego się jednak nie stało.

Jack czekał, aż o własnych siłach wdrapała się do kabiny i zajęła miejsce obok kierowcy, a potem zwinnie wskoczył za nią. Kiedy pochylił się, by jej przedstawić czarnoskórego szofera, niechcący dotknął ramieniem jej piersi, nieświadomie sprawiając, że z wrażenia wstrzymała oddech.

- To jest Mojżesz.

- Bardzo mi miło! - Uśmiechnęła się do mężczyzny za kierownicą, ale myślami była gdzieś indziej.

Przeraziła ją gwałtowność własnej reakcji na bądź co bądź przypadkowy kontakt fizyczny z Jackiem.

Podczas powitania Mojżesz zwracał się do niej per „pani doktor”. Nie zdążyła go poprawić, bo nagle kabinę wypełnił tak potężny ryk rozrusznika, że aż drgnęła przestraszona. Trwało dobrą chwilę, nim silnik zaskoczył i ciężarówka, wzbiwszy gęsty obłok kurzu, potoczyła się po wyboistej drodze. Nim ujechali sto metrów, rozkołysała się tak mocno, że Meg co chwila wpadała to na Mojżesza, to na Jacka.

- Przepraszam - mruknęła, przytrzymując się siedzenia.

- Obawiam się, że to niewiele pomoże. Lepiej usiądź jak ja - poradził. Sam chwilę wcześniej zaparł się stopami o deskę rozdzielczą. - Wiem, że damy tak nie siadają, ale będzie

ci wygodniej - dodał, przytrzymując ją, gdy podskoczyli na kolejnym wyboju.

- Dziękuję. - Próbowała uśmiechnąć się przyjaźnie. - Rzeczywiście tak jest dużo lepiej.

Wzruszył ramionami, po czym odwrócił się do okna i zaczął w skupieniu śledzić krajobraz przesuwający się za brudną szybą. Wyglądało to tak, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że zrobił już wszystko, co do niego należało, więc zostawiają własnemu losowi. Znowu sprawił jej przykrość i miała ochotę powiedzieć mu o tym, ale dała sobie spokój. Wiedziała, że to ani czas, ani miejsce na szczere rozmowy

Dość długo jechali w milczeniu. Wreszcie Jack odezwał się, i to nie po to, by ją znowu skrytykować, czego się w głębi ducha obawiała. Ni z tego, ni z owego zaczął opowiadać jej o swoim pierwszym wyjeździe.

- Przyjechałem tu świeżo po zrobieniu specjalizacji. Do dziś pamiętam, że chciałem natychmiast wrócić na studia, bo wydawało mi się, że nic nie umiem. Co rusz trafiały mi się przypadki, o jakich nawet mi się nie śniło. - Odwrócił się od okna, a kiedy na nią spojrział, w jego szarych oczach nie było już chłodnej surowości. - Czasami ze zmęczenia nie mogłem zasnąć. Leżałem w łóżku i szczypałem się w rękę, bo ciągle nie mogłem uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Nigdy nie żałowałeś, że zaangażowałeś się w pomoc humanitarną? - zapytała, ośmielona ciepłym jego spojrzeniem

i przyjazną nutą w głosie.

- Nigdy!

Potrząsnął głową tak energicznie, że pasma wilgotnych włosów opadły mu na oczy. Wszystkie okna w kabinie były opuszczone, ale powietrze i tak nie dawało ochłody. Widziała, jak na jego koszulce rośnie ciemna plama. Jej ubranie

także było wilgotne i kleiło się do skóry. Gdy ciężarówka podskoczyła na kolejnej nierówności, na ułamek sekundy dotknęli się ramionami. Ciepło rozgrzanego ciała przeniknęło ją przyjemną falą.

- Więc nie żałujesz, że nie poświęciłeś się robieniu kariery? - zapytała, pragnąc przerwać krepujące milczenie.

- Chodzi ci o to, czy nie żałuję, że nie robię pieniędzy? - zaśmiał się. - Nie, nie żałuję. Pieniądze to nie wszystko. Według mnie w życiu istnieją dużo ważniejsze rzeczy niż kupno większego domu czy bardziej luksusowego samochodu. Wiem, że niektórym wydaje się to dziwne.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. - Lekko wzruszyła ramionami. Nie miała wątpliwości, że zaliczała ją do grona „niektórych”. - Jestem tego samego zdania. Za pieniądze nie da się kupić szczęścia, bo ono płynie z naszego wnętrza, gdy robimy to, co chcemy robić, i kiedy jesteśmy zadowoleni ze swojego wyboru - powiedziała cicho i natychmiast pożałowała, że się wyrwała z takimi przemyśleniami.

- No proszę - rzekł z lekką ironią, unosząc brwi. - Nie spodziewałem się po tobie takich poglądów.

- Przecież nic o mnie nie wiesz! - zachnęła się. Nie podobała jej się ta jawna drwina, nawet jeśli kontrastowała z zaciekawionym spojrzeniem szarych oczu. - Nie znasz mnie, nie wiesz, jaka jestem. Referencje i życiorys nie mówią zbyt wiele o charakterze człowieka.

- Zgoda. Podobno mądrzy ludzie nigdy nie polegają tylko i wyłącznie na tym, co napisano w kwestionariuszach. Papier jest cierpliwy. Ja w moich wyborach opieram się na intuicji. Uważam, że warto jej słuchać, kiedy poznaje się nowych ludzi.

Ta twoja cholerna intuicja wykonała krecią robotę, kiedy powiedziała ci, że nie chciałbyś ze mną pracować, pomyślała

z goryczą. Korciło ją, by mu o tym powiedzieć, ale zrezygnowała. Lepiej oszczędzić sobie przykrości.

- Coś się stało? - zapytał, gdy zbyt gwałtownie odwróciła się do okna.

- Nie. Po prostu jest mi gorąco. - Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarła nią twarz.

- To nic w porównaniu z tym, co nas czeka.

- Trudno. Będę się musiała przyzwyczaić. Jakoś to zniosę, nie sądzi pan, doktorze?

- Sądzę.

Jakaś zaskakująca nuta w jego głosie skłoniła ją, by na niego zerknąć. Siedział wpatrzony przed siebie, jakby próbował przeniknąć wzrokiem zbity zielony gąszcz po obu stronach piaszczystej drogi. A jednak instykt, o którym dopiero co rozmawiali, podpowiedział jej, że był zły. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale miała wewnętrzne przekonanie, że był zły, bo wiedział, że sprawił jej przykrość, i najwyraźniej nie czuł się z tym dobrze. Ta świadomość dodała jej otuchy i pomogła się nieco odprężyć. Najgorsze, że w jego obecności stale czuła się jak na cenzurowanym. Na moment zaświtała jej iskierka nadziei, że jego niechęć nie jest nieodwracalna i przy odrobinie wysiłku uda jej się sprawić, żeby ją polubił. Niestety, kiedy się znowu odezwał, jego twarz miała znany jej powściągliwy wyraz, który nie zachęcał do szukania porozumienia.

- Upłynie trochę czasu, zanim zorientujemy się, z jakimi przypadkami będziemy mieli najczęściej do czynienia - oznajmił tonem przełożonego. - Jak wiesz, jestem specjalistą od chorób oczu, ale w czasie wyjazdów zdarza mi się zajmować chirurgią ogólną.

- Właśnie o to chciałam zapytać. - Z ulgą podjęła służbowy temat. - Wiem, że poszczególne misje specjalizują się

w określonym typie medycznej pomocy. Czy w naszym przypadku będzie podobnie?

- Niestety nie, choć w sytuacji idealnej właśnie tak być powinno. Jednak ze względów praktycznych nie możemy skupiać się na jednej dziedzinie. Przez długie lata Onkamba była odcięta od świata, można się więc domyślać, że ludność potrzebuje wszelkiej pomocy medycznej.

- Będziemy więc leczyć wszystkich na wszystko, tak?

- Owszem. Ale na pewno ja będę szczególnie wyczulony na choroby oczu, a Guy, drugi chirurg, będzie skupiał się na wykrywaniu i leczeniu raka szyjki macicy. Jednak każdego dnia będziemy starali się przyjąć jak najwięcej pacjentów.

- Jasne.

- Będziemy mieli od cholery roboty, co na pewno uniemożliwi ci stopniowe poznawanie tej pracy. Lepiej, żebyś była tego świadoma.

Aha, wracamy do naszego ulubionego tematu, pomyślała. Co to by było, gdyby doktor Trent nie zasugerował jej, że zapewne nie poradzi sobie z nawałem obowiązków. A ona, naiwna, już zaczynała wierzyć, że zaczął nabierać do niej zaufania!

- Wiem, że będzie ciężko - powiedziała bez ogródek - ale jeszcze raz zapewniam cię, że dam sobie radę. I to pomimo tego, że z całego serca życzysz mi, żebym się potknęła przy pierwszej możliwej okazji!

O dziwo, Jack nie uraczył jej żadną kąśliwą ripostą.

- Domyślam się, że rzadko się potykasz. A swoją drogą, ani tego nie chcę, ani ci tego nie życzę. To jednak nie znaczy - dodał, poważniejąc - że zmieniłem zdanie. Nadal twierdzę, że ta praca nie jest odpowiednim zajęciem dla kobiety takiej jak ty.

To znaczy jakiej? - chciała zapytać, ale nie zrobiła tego.

Dobrze znała odpowiedź. W tym przypadku „takiej” znaczyło: nie robiącej dobrego wrażenia na doktorze Trencie. Nie doceniał jej jako siły fachowej, pał go diabli, tu może mu szybko udowodnić, jak bardzo się mylił. Najgorsze, że nie cenił jej zbyt wysoko jako człowieka, a na to niewiele mogła poradzić. Nie mogła go zmusić, żeby zaczął ją lubić. Ta świadomość bolała ją najbardziej i co gorsza, nie bardzo wiedziała, jak sobie z tym radzić, gdyż nigdy dotąd nie była w podobnej sytuacji. Jej stosunki z ludźmi, zawodowo i prywatnie, układały się bardzo dobrze. Zawsze sądziła, że jest lubiana - do dnia, kiedy poznała Jacka Trenta.

Zapadał zmrok, gdy wreszcie dotarli do wioski, w której mieli nocować. Powoli wysiadali z samochodów, wykończeni trudami podróży i upałem. Meg ledwo poruszała zdrtwiałymi nogami, bolał ją kręgosłup. Ostatnie kilka kilometrów było dla niej prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości.

- Po kiego diabła człowiek dobrowolnie pcha się na sam koniec świata - biadała Lesly, masując kark.

- Siedziałabym sobie teraz w chłodzie przed telewizorkiem, piła herbatę i oglądała moją ulubioną telenowelę. Wszyscy musimy być zdrowo stuknięci, nie sądzisz? - zagadnęła.

- Chyba masz rację - odparła Meg ze śmiechem. - Przez ostatnie kilometry tak telepało, że bałam się, że pogubię zęby.

Roześmiały się obie, jednak Meg spoważniała, gdy mimo woli pochwyciła spojrzenie przechodzącego obok Jacka. „A nie mówiłem?” - wyczytała w jego oczach i tak ją to wkurzyło, że niewiele myśląc, za plecami pokazała mu język.

- Coś mi się zdaje, że nie przypadliście sobie z szefem do gustu - zauważyła Lesly.

Meg wzruszyła ramionami. Niepotrzebnie zachowała się jak dziecko. W końcu nie znała tej kobiety na tyle, by wie-

dzieć, czy przypadkiem nie zrobi niezdrowej sensacji wokół tego, co tu przed chwilą zobaczyła. A przecież ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było psucie atmosfery w grupie.

- To prawda, że ja i Jack jakoś za sobą nie przepadamy, ale dogadamy się - powiedziała z nieco sztuczną swobodą. - Powiedz mi lepiej, co mamy teraz robić?

- Mam nadzieję, że nic. - Lesly zorientowała się, że nie powinna drażnić tematu, choć umierała z ciekawości, co też mogło się wydarzyć między tą parą. - Teraz sobie wreszcie usiadziemy i zjemy kolację. Chyba lubisz afrykańskie jedzenie?

Meg nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna, póki nie zobaczyła misek z parującą, aromatyczną potrawą, którą przygotowała Leah, młoda żona Mojżesza. Usiedli wokół ogniska rozpalonego na gołej ziemi i z apetytem przystąpili do jedzenia. Meg bez protestu przyjęła dokładkę, którą nieśmiało podsunęła jej Leah. Jej gładka, ciemna skóra lśniła w blasku ognia i pięknie kontrastowała z jaskrawymi barwami luźnego stroju. Pomimo zaawansowanej ciąży poruszała się lekko i wdzięcznie, a gdy kręciła głową, tysiące koralików wplecionych w cieniutkie warkoczyki wydawało przyjemne, delikatne dźwięki. Dziewczyna mówiła trochę po angielsku, kiedy więc Meg podziękowała za poczęstunek, szepnęła speszona:

- Niech pani pójdzie na zdrowie, pani doktor. Cieszę się, że pani smakowało.

- Dlaczego ona do wszystkich mówi: doktorze? - spytała Meg. - Mojżesz robi to samo. Czy oni myślą, że wszyscy jesteśmy lekarzami?

- W tutejszych społecznościach kobiety nie mają zbyt wysokiej pozycji - wyjaśnił Rory.

- Niestety, taka jest smutna prawda - przytaknął Jack. - Podczas kolejnych wyjazdów przekonaliśmy się, że najle-

piej, gdy cały personel uchodzi za lekarzy. To eliminuje wiele problemów. Prawdę mówiąc, w tych nietypowych warunkach pielęgniarki daleko wykraczają poza zakres swoich normalnych obowiązków.

- I tobie to nie przeszkadza? - wyrwało się Meg. Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni. - Z reguły lekarze nie mają zbyt wysokiego mniemania o zawodowych możliwościach pielęgniarek - wyjaśniła pośpiesznie.

- To już nie moja wina. Mogę cię jednak uspokoić, że ja do nich nie należę. Poza tym tutaj każdy musi robić to, co musi. A jeśli trzeba, to nawet więcej.

Czy tylko ona pojęła aluzję, czy 'dla wszystkich było równie jasne, co i komu chciał przez to powiedzieć? Dyskretnie popatrzyła po twarzach kolegów. Rozmawiali ze sobą jak gdyby nigdy nic, najwyraźniej nieświadomi, że słowa ich szefa miały podwójne znaczenie. Tylko ona odebrała je jako ostrzeżenie, a może raczej przypomnienie, bo przecież już nieraz mówił jej, że będzie musiała przykładać się do pracy. Nagle poczuła się tym wszystkim przytłoczona. Fizyczne zmęczenie potęgowało tylko przykre odczucie, że niezastępowanie popadła w niełaskę. Doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli się pożegna.

- Przepraszam was, ale pójdę już spać. - Uśmiechnęła się do wszystkich, starannie unikając wzrokiem Jacka.

- Na mnie też już pora. - Kate również wstała i z jękiem rozprostowała bolące plecy. Zerknęła spod oka na Jacka i rzekła ze złośliwym uśmiechem: - Ta Yvonne miała nosa, że w ostatniej chwili wykręciła się z tego wyjazdu. Już ona wiedziała, że nasz szefunio każe nam się tłuc po najgorszych dziurach.

Jack podniósł się roześmiany i zaczął rozciągać zeszywniałe mięśnie. W migotliwym świetle ognia wyglądał tak po-

ciągająco, że Meg dla własnego spokoju zdecydowała się czym prędzej odwrócić wzrok. To jakieś szaleństwo, pomyślała zdruzgotana, wystarczy, że facet się uśmiechnie, na dodatek wcale nie do mnie, a ja zaczynam głupieć.

- Wiesz co, Kate - zagadnął wesoło. - Może masz rację co do Yvonne. Szkoda, że nie powiedziałem jej, że tym razem będziemy jeździli klimatyzowaną limuzyną. Może wtedy by się nie wycofała - westchnął, zerkając na kolegów. - Będzie nam jej brakowało, co?

Zwłaszcza że zastąpiła ją osoba, która nie przypadła ci do gustu, pomyślała Meg z goryczą. Czym prędzej odwróciła się i ruszyła w stronę chaty, w której miała spać.

- Meg, zaczekaj!

Przystanęła, ale nie odwróciła się w jego stronę. Mimo to natychmiast wyczuła, kiedy stanął za nią.

- Posłuchaj, Meg, wiem, jak to zabrzmiało. Naprawdę nie chciałem, żeby tak wyszło.

Powiedział to tak łagodnie, że zaintrygowana obróciła głowę. W nikłym świetle ogniska dostrzegła wyraz jego oczu. Był w nich szczery żal i coś, czego nie umiała nazwać. Nie spodziewała się po nim żadnych ludzkich odruchów, więc nie była na to przygotowana. Nim zdążyła ukryć wzburzenie, broda zaczęła jej drżeć. Jeszcze chwila, a po policzku popłynęłyby łzy.

- Do diabła! - Wyciągnął rękę, ale zaraz ją cofnął. - Pewnie myślisz, że wolałbym, żeby zamiast ciebie była tu Yvonne. To nieprawda. Nie chciałem, żebyś poczuła się jak ktoś niemile widziany. - Mówił z wysiłkiem, jakby zmagał się z samym sobą. Dla dobra zespołu jest gotów łągać w żywe oczy, pomyślała rozzalona.

- Nie ma sprawy - mruknęła, siląc się na obojętność. - Nie czuję się urażona.

Spojrzała mu prosto w oczy, jakby chciała rzucić mu wyzwanie. Musiał zrozumieć jej intencje, bo z całych sił zacisnął zęby. Ona zaś aż oniemiała, bo nagle zrozumiała wyraz jego twarzy. Mogła przysiąc, że przed sekundą walczył z pokusą, żeby ją pocałować! Wielkie nieba i wszyscy święci! Na myśl o tym, że tak niewiele brakowało, by przekonała się, jak smakuje jego pocałunki, aż zakręciło jej się w głowie. Tymczasem on zdążył już ochłonąć.

- Cieszę się, niemniej jeszcze raz przepraszam. Śpij dobrze - rzucił, nie patrząc jej w oczy, po czym szybko odszedł w stronę ogniska.

Ona zaś stała jak zaczarowana i mimo woli odprowadzała go wzrokiem. Kiedy na chwilę zamknęła oczy, rozbudzona wyobraźnia natychmiast podsunęła jej wizję twarzy Jacka - szczupłej, o pochmurnym spojrzeniu i kuszących ustach.

- Nie! - jęknęła, prędko otwierając oczy.

Speszona własną reakcją, szybko zakryła dłonią usta. Tego jeszcze brakowało, by ktoś usłyszał te jęki! Musi natychmiast wziąć się w garść. No i co z tego, że chciał ją pocałować? Wielkie rzeczy! To, że chciał, wcale nie znaczy, że by mu pozwoliła. Jej matka zawsze powtarzała, że do tanga trzeba dwojga. Tym razem złota matczyna myśl jakoś nie podniosła jej na duchu...

Nie bardzo wiedziała, co ją obudziło. Rozespana, leżała bez ruchu, czekając, aż oczy przyzwyczają się do gęstej ciemności. Tuż obok Lesly pochrapywała cicho na skrzypiącej połówce. Meg pomyślała, że widocznie musiało jej się coś przyśnić. Już miała przewrócić się na drugi bok i spróbować zasnąć, gdy naraz poczuła bardzo wyraźny niepokój. Jakiś siódmy zmysł podpowiadał jej, że gdzieś blisko dzieje się coś złego.

Odsunęła moskitierę i ostrożnie usiadła na łóżku. Nie chciała tracić czasu na szukanie latarki albo świecy. Zresztą wystarczyła jej ta odrobina światła, którą dawał wąziutki sierp księżyca. Dzięki niej odnalazła wyjście z chaty i przez moment stała w progu, wpatrując się w pusty placyk pomiędzy szafasami. Po chwili obok jednego z nich wypatrzyła skulone postacie kręcące się w tę i z powrotem. Nie miała pojęcia, kim byli ci ludzie i co tam robili, a przede wszystkim czy ona sama powinna się nimi interesować. Zastanawiała się, czy nie byłoby rozsądniej wrócić do łóżka, lecz niepokój, który poczuła po obudzeniu, nie tylko nie mijał, lecz wręcz narastał. Wreszcie z ociąganiem oderwała się od ściany i, pokonując strach, ruszyła w stronę ciemnych postaci. Kiedy po paru krokach rozpoznała wśród nich Mojżesza, odetchnęła z ulgą.

- Co się dzieje? - zapytała, odruchowo zniżając głos.

- Nic, pani doktor. To tylko Leah - odszepnął znużonym głosem. - Zaczęła rodzić, ale coś jest źle. - Zmartwiony pokręcił bezradnie głową.

Meg poczuła, jak cierpnie jej skóra. W czasie porodu może wydarzyć się mnóstwo komplikacji. Większość z nich w warunkach szpitalnych nie stanowiła poważnego zagrożenia, jednak w samym sercu afrykańskiego buszu... Natychmiast zaproponowała Mojżeszowi pomoc, którą przyjął z widoczną ulgą. Tyle że Meg nie do końca wiedziała, co powinna robić. Miała cichą nadzieję, że wiedza, którą wieki temu zdobyła podczas praktyk na oddziale położniczym, nie wyleciała jej całkiem z głowy.

Wnętrze chaty oświetlone było świecami. W żółtym, rozproszonym świetle dostrzegła kobiety klęczące wokół posłania, na którym leżała rodząca. Domyśliła się, że kobiety są miejscowymi położnymi, które starają się pomóc nieszczęs-

nej młodej matce. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować, żeby ich nie urazić. Obawy okazały się zbędne, bo kiedy podeszła bliżej, bez słowa przesunęły się, żeby zrobić jej miejsce.

- Leah, słyszysz mnie? - zapytała cicho, pochylając się nad posłaniem. - To ja, doktor Meg. - Z bliska widziała wyraźnie, że dziewczyna jest półprzytomna z bólu. - Mogę sprawdzić, co się dzieje z tobą i dzieckiem?

Leah bez słowa skinęła głową. Widocznie była już tak wyczerpana, że nie miała siły mówić.

Wyprężyła się jak struna, gdy chwycił ją kolejny skurcz, i jęczała cicho, poddając się fali obezwładniającego bólu. Meg zdziwiła się bardzo, że skurcze są tak silne, bo podczas kolacji nic nie zapowiadało rozpoczęcia porodu. Delikatnie położyła dłoń na napiętym brzuchu i uciskała go, póki nie wyczuła twardego kształtu dziecka. Odniosła wrażenie, że płód ułożył się po-śladkowo i dlatego nie mógł wydostać się na świat. Niestety, nie potrafiła zmienić jego pozycji, choć wiedziała, że jest to możliwe. Za to doskonale rozumiała, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, umrze i matka, i dziecko.

- Nie bój się, Leah - odezwała się spokojnie, chcąc w ten sposób dodać dziewczynie otuchy. - Zaraz zawołam któregoś z kolegów i pomożemy ci urodzić. Wytrzymasz jeszcze chwilę, prawda? -

Łagodnie pogładziła mokrą od potu dłoń dziewczyny, po czym wybiegła na placyk i skierowała się do chaty, w której spał Jack. Nie miała czasu zastanawiać się, czy robi tak dlatego, że był jej przełożonym, czy dlatego, że tak podpowiadał jej instynkt.

- Jack, wstawaj! - Jednym skokiem znalazła się przy posłaniu, odsunęła moskitierę i mocno potrząsnęła go za ramię. Nie zareagował od razu, więc szarpała coraz mocniej, mimo woli wpatrując się w jego okryte białym prześcieradłem cia-

ło. W porządku, Jack jest wspaniale zbudowany, ale to nie jest moment, by podziwiać jego urodę. - Wstawaj, Jack!

Zerwał się gwałtownie i z całych sił chwycił ją za rękę. Nim zdążyła wykrztusić choćby słowo, pociągnął ją w dół i nakrył sobą, przyciskając do cienkiej słomianej maty.

- Co jest, do cholery...? - mruknął, nie do końca rozbudzony. Przez moment przypatrywał się jej zdumiony, aż w końcu na jego ustach pojawił się przedziwny uśmiech. W wyrazie jego oczu, w ułożeniu warg było coś drwiącego i jednocześnie diabelnie pociągającego. - Proszę, proszę - wycedził zduszonym głosem. - Tylko mi nie mów, że w ten sposób próbujesz zachęcić mnie do zmiany zdania...

ROZDZIAŁ TRZECI

- Puszczaj mnie! Puszczaj natychmiast! - Szarpnęła się z całych sił i skoczyła na równe nogi. - W głowie ci się pomieszało czy co? - zawołała ze złością.

On tymczasem najspokojniej w świecie opadł na posłanie i, nie spuszczać z niej drwiącego wzroku, powiedział:

- Zdaje się, że ja zapytałem pierwszy?

Krew uderzyła jej do twarzy gorącą falą. Całe szczęście, że w ciemnościach nie było widać, jak płoną jej policzki. Czy ten facet naprawdę myśli, że chciała się z nim przespać? W całym swoim życiu nie czuła się bardziej upokorzona.

- Jeśli myślisz, że zniżę się do twojego poziomu i odpowiem na to pytanie, to bardzo się mylisz - syknęła.

- Twoja sprawa. W takim razie, co tu robisz? Bo chyba nie obudziłaś mnie bez powodu?

Powiedział to tak aroganckim tonem, że w pierwszej chwili miała ochotę wyjść. Jednak myśl, że parę metrów dalej Leah zwija się z bólu, skutecznie ostudziła jej temperament.

- Zona Mojżesza zaczęła rodzić, ale coś jest nie tak. Próbowałam ją zbadać i sądzę, że dziecko chyba ułożyło się pośladkowo. Możesz ją obejrzeć?

- Jasne! - Poderwał się i w mgnieniu oka wciągnął na siebie ubranie.

W drodze do chaty zasypał ją mnóstwem pytań. Nie mogła wyjść z podziwu, że dosłownie w jednej chwili umiał całkowicie skupić się na problemie, z którym miał się zmierzyć.

Kiedy weszli do chaty, natychmiast klęknął obok posłania rodzącej.

- Doktor Meg powiedziała mi, że masz kłopoty - odezwał się łagodnie. - Mogę cię zbadać?
- Tak... - wyszeptała dziewczyna. Była już bardzo wyczerpana, miała słabe i nieregularne tętno.
- Według mnie - odezwał się Jack, podnosząc wzrok na Meg - dziecko nie jest ułożone pośladkowo, tylko poprzecznie. Nie ma szans na poród siłami natury. Jakby tego było za mało, ręka i ramię zakleszczyły się w kanale rodnym.

Meg ze zdenerwowania przełknęła głośno ślinę:

- Musimy zrobić cesarskie?
- Nie mamy wyjścia - szepnął, patrząc na wykrzywioną z bólu twarz dziewczyny. - Oby nie okazało się, że jest za późno!
- Co mam zrobić najpierw? - zapytała Meg. Spojrzał na nią z uznaniem, nie kryjąc, że zaimponowała mu swą reakcją.
- Uważasz, że mamy szansę? - zapytał.
- Tak. Jeśli ktokolwiek może jej pomóc, to tylko ty.

Wprawdzie chwila nie sprzyjała uniesieniom, jednak widząc w jego oczach uznanie, poczuła się szczęśliwa jak studentka, która właśnie zaliczyła trudny egzamin. Nie było czasu na analizowanie uczuć, więc czym prędzej opanowała emocje i w skupieniu notowała w myślach polecenia Jacka. Wszystko, czego potrzebowali do operacji, było zapakowane do skrzyń, które musiała szybko przeszukać.

- Chcesz, żebym obudziła Lesly i Kate? - zapytała, zbierając się do wyjścia.
- Na razie nie. Jeśli będą potrzebne, pošlę po nie Mojżesza, ale myślę, że we dwójkę damy sobie radę. Pójdę tylko po Rory'ego, bo trzeba ją znieczulić.

- Jasne. - Skinęła głową i szybko wybiegła z chaty. Wyszukując w skrzyniach potrzebne rzeczy, myślała

o tym, że Jack wreszcie jej zaufał. Zaskoczyło ją, że jest z tego powodu tak bardzo zadowolona. Kiedy następnego dnia wracała myślą do wydarzeń ostatniej nocy, wprost nie mogła uwierzyć, że to, co przeżyła, wydarzyło się naprawdę. Na polecenie Jacka do chaty przyniesiono wszystkie świece, jakie były we wsi, i starą lampę naftową. Doszły do tego jeszcze ich latarki, ale i tak oświetlenie dalekie było od ideału. W dodatku nie mieli czasu, by odnaleźć w paczkach wszystko to, co było im potrzebne, pozostali więc przy całkowicie niezbędnych narzędziach i lekach. Meg przykryła posłanie wysterylizowanymi płachtami chirurgicznymi, a na jednej z nich ułożyła narzędzia. Nic więcej nie mogła zrobić, więc pozostało jej tylko modlić się duchu, by Leah nie padła ofiarą żadnej poważnej infekcji.

Zaczekała, aż Jack umył i zdezynfekował ręce, po czym przygotowała parę chirurgicznych rękawiczek.

- Będziemy potrzebowali podwójnych - powiedział, patrząc na nią znacząco. - Nie wolno nam ryzykować.

Pokiwała głową i w milczeniu pomogła mu włożyć następną parę, po czym postąpiła tak samo jak on. Doskonale rozumiała, że z AIDS nie ma żartów. Zwłaszcza w Afryce, gdzie choroba przyjęła rozmiary prawdziwej epidemii. Gotowi do zabiegu, podeszli do posłania, przy którym krzątał się Rory.

- Typowe, co? - zagadnął anestezjolog, kiwając głową. - Człowiek jak głupi ma nadzieję, że spokojnie się do wszystkiego przygotowuje, a tu bach! Od razu trzeba skakać na głęboką wodę.

- Powiedz, ile takich wyjazdów już zaliczyłeś? - spytał

Jack z uśmiechem. - Pamiętasz, żeby kiedykolwiek obyło się bez niespodzianek?

Obaj roześmiali się i popatrzyli na siebie jak ludzie, którzy wiele razem przeszli. Meg pozazdrościła im tych wspólnych przeżyć.

- Dobrze - oświadczył Jack. - Jeśli jesteś gotów, Rory, to bierzmy się do roboty, bo czas ucieka. Zdecydowali się zastosować znieczulenie zewnątrzoponowe, gdyż słusznie obawiali się, że wycieńczona Leah może nie wybudzić się z pełnej narkozy. Kiedy Rory dawał jej znieczulenie miejscowe przed wprowadzeniem cewnika między kręgi lędźwiowe, nawet nie drgnęła.

- Skalpel! - Jack w skupieniu pochylił się nad osłoniętym płachtami brzuchem, po czym błyskawicznie wykonał precyzyjne, poprzeczne cięcie. Meg stała tuż za nim i uważnie obserwowała, jak przecina kolejne warstwy mięśni. W pewnej chwili dostrzegła zwinięte ciało dziecka, które Jack chwycił mocno w obie dłonie i szybko wydobył na zewnątrz. Podał jej chłopczyka, a dopiero potem przeciął pępowinę.

- Teraz twoja kolej, Meg - powiedział i nie tracąc czasu, przystąpił do zakładania szwów.

Popatrzyła na nieruchome maleństwo, w pełni świadoma, że jego życie spoczywa w jej rękach. Była bardzo zdenerwowana, bo też miała powody do niepokoju. Chłopczyk nie dawał żadnych oznak życia, nie wydał z siebie krzyku, który byłby dowodem, że zaczął samodzielnie oddychać. Usiadła na niskim stołku i położyła go sobie na kolanach. Przy pomocy specjalnej rurki odessała z malutkiej buzi resztki śluzu, a ponieważ chłopiec nadal nie krzyczał, błyskawicznie odwróciła go główką w dół. W ten sposób miała nadzieję pozbyć się wód płodowych, które w czasie porodu mogły dostać się do płuc.

- Dalej, malutki - szeptała, zachęcając go do oddychania. - Musisz spróbować!

Delikatnie klepnęła malutkie piętki, nerwowo przypominając sobie wszystko, co wiedziała na temat reanimacji noworodków. Całe szczęście, że przed wyjazdem przejrzała sporo podręczników medycznych i przypomniała sobie najważniejsze procedury. Wiedziała jednak, że nawet najlepszy podręcznik nie jest w stanie zastąpić praktyki. Nie wolno rezygnować, nie wolno rezygnować, powtarzała jak zaklęcie, gdy mijały kolejne sekundy, a dziecko leżało bez ruchu. Musi mu pomóc, musi go uratować, albo nie daruje sobie do końca życia...

Pochyliła się i objęła wargami nos i usta dziecka. Wolno i delikatnie zaczęła wdmuchiwać powietrze, modląc się, by zaczęło współpracować. Nie mogła znieść myśli, że życie tej okruszyny może się skończyć, zanim się na dobre zaczęło. Pełną napięcia ciszę przerywał jedynie miarowy szum, z jakim wdychała i wydychała powietrze. Kiedy Jack stanął przy niej, nawet na niego nie spojrzała, skoncentrowana na swojej czynności.

- Meg, zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

Powiedział to spokojnie, ale w jego głosie słychać było rozczarowanie i żal. Z całych sił zacisnęła powieki, tak by nie zdołała się spod nich wymknąć żadna łza. Nie chciała i nie mogła pogodzić się z tym, że nie udało jej się wygrać ze śmiercią. Jeszcze raz zaczerpnęła powietrza i wtłoczyła je do rozchylonych drobniutkich ust... Nagle małe ciało drgnęło spazmatycznie. Chłopczyk gwałtownie rozprostował rączki i nóżki, a po chwili jego donośny krzyk przerwał martwą ciszę dusznego wnętrza.

- Udało nam się! - Meg opuściła głowę na piersi i siedziała tak przez parę sekund. Kiedy ją podniosła, policzki miała mokre od łez.

- To tobie się udało. - Jack lekko dotknął jej ramienia. - Wszystko dzięki twojej determinacji - dodał, a jego cichy głos zginął w donośnym wrzasku, którym maluch obwieszczał swe niezadowolenie z faktu przyścia na świat. - Trzeba przyznać, że chłopak ma zdrowe płuca! - dodał z westchnieniem ulgi.

Meg wstała i przez chwilę tuliła dziecko w ramionach. Wiedziała, że powinna je zważyć, zmierzyć i umyć, ale zamiast tego owinęła je płótnem i zniosła do Leah. Bliski kontakt z matką był bowiem tym, czego maleństwo potrzebowało najbardziej. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że nawet nie wie, jak dziewczyna zniosła operację. Zebrała w sobie całą odwagę i zapytała Jacka, jak poszło.

- Nie denerwuj, się, wszystko w porządku - odparł, patrząc na nią ze zrozumieniem. - Leah czeka na swoje dziecko.

Uśmiechnęła się do niego wzruszona, a on spojrzał na nią tak intensywnie, że wstrzymała oddech. W jego wzroku odbijała się jakaś mroczna, niebezpieczna siła. Być może zorientował się, że to dostrzegła, bo odwrócił się i szybko poszedł pomóc Rory'emu przy sprząaniu.

Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, co odczytała w spojrzeniu Jacka. Pomyślała tylko, że skoro nie czuł do niej sympatii, nie powinien patrzeć na nią z takim pożądanem. To przecież nie ma sensu. Bezradnie wzruszyła ramionami i poszła pokazać Leah jej dziecko.

- Moje maleństwo! - Na wymęczonej twarzy dziewczyny pojawił się słaby uśmiech. Niecierpliwie wyciągnęła ramiona, w które Meg ostrożnie włożyła zawiniątko.

- To chłopiec, śliczny i zdrowy - powiedziała Meg.

- Naprawdę? - Wzruszona Leah drżącymi palcami rozwinęła płótno i z zachwytem wpatrywała się w swego synka.

Po chwili podniosła wzrok na Meg. - Dziękuję, dziękuję... - szeptała przez łzy, które gorącą stróżką płynęły jej po policzkach.

- Tak się cieszę, że wszystko poszło dobrze! - Meg nie próbowała nawet ukryć łez, które zakręciły jej się w oczach. Z całego serca uściśnęła Leah, ciesząc się w duchu ze szczęścia młodej matki, po czym wstała z kolan. - Niezła z nas para - rzekła ze śmiechem. - Mogłybyśmy robić za płaczki.

Lepiej pójde po Mojżesza, bo pewnie nie może się już doczekać, kiedy wreszcie zobaczy syna.

- O tak, niech go pani zawoła. Na pewno będzie bardzo dumny. Każdy mężczyzna chce mieć syna. - Leah skinęła głową i pochyliła się nad krzyczącym dzieckiem. Przystawiła je do piersi i, głaszcząc je po kształtnej główce, patrzyła, jak ssie.

Zachwycona Meg stała nad nimi przez chwilę, pewna, że na długo zapamięta tę wzruszającą scenę.

Kiedy przechodziła obok Rory'ego, ten klepnął ją z uznaniem po plecach.

- Wspaniale się spisałaś, dziecino. Pierwszorządna robota, nie ma co! Witamy w klubie!

- Dzięki! - Rozpromieniła się w uśmiechu, poruszona jego pochwałą. Chciała pomóc przy sprzątanii, ale podziękował jej, więc wyszła przed chatę, gdzie miała nadzieję znaleźć Mojżesza.

Rzeczywiście był tam i rozmawiał z Jackiem. Domyśliła się, że z pewnością poznał już dobrą nowinę. Gdy tylko podeszła bliżej, Mojżesz natychmiast chwycił za jarek i zaczął potrząsać nią ze wszystkich sił.

- Doktor Meg! Nie wiem, jak pani dziękować! Doktor Jack o wszystkim mi opowiedział. Serdecznie pani dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Lepiej biegnij do żony i synka. Czekają na ciebie - poradziła mu z uśmiechem, zastanawiając się, czy jej staw barkowy przetrwa nienaruszony to entuzjastyczne potrząsanie.

Gdy Mojżesz wreszcie ją puścił i w asyście członków rodziny zniknął w chacie, odetchnęła z ulgą i zaczęła dyskretnie rozcierać obolałe palce prawej dłoni.

- Szczęście, że to nie bliźniaki - powiedziała wesoło. - Obawiam się, że nie obeszloby się bez paru zgruchotanych kości

Jack roześmiał się głośno, błyskając w mroku białymi, lśniącymi zębami. .

- Wybacz mu - poprosił. - W końcu ma człowiek powody do radości. Spisałaś się pierwsza klasa. - Mówiąc to, ruszył z miejsca, a Meg wydało się rzeczą naturalną pojsc za nim.

Minęli pusty placyk między chatami i zatrzymali się dopiero przy pierwszych drzewach na skraju wioski. Noc była bardzo ciemna, gdyż cienki sierp księżycyca nie dawał wiele światła. W chłodnym powietrzu unosiły się nieznane zapachy. Wdychała je głęboko, próbując odgadnąć, skąd pochodzą. Czowała się ogromnie zmęczona podróżą i brakiem snu, jednak to, co przed chwilą przeżyła, napełniało ją tak wielką radością, że miała ochotę krzyczeć na całe gardło.

Chwilę stali w milczeniu, podziwiając gwiazdy gęsto rozsiane na szafirowym niebie. Zapragnęła dowiedzieć się, co Jack myśli o niej teraz, gdy wie już, jak potrafi radzić sobie w krytycznych sytuacjach. Po chwili wahania zaryzykowała więc pytanie: .

- Czy teraz już wierzysz, że nadaję się do tej pracy /

- Mówiłem już, że znakomicie sobie poradziłaś.

- Ale... - Roześmiała się zaczepnie, rozbawiona rezerwą w jego głosie. - Słyszę, że wciąż nie jesteś przekonany.

- Jeszcze raz powtarzam, że należy ci się ogromne uznanie, co jednak niczego nie zmienia. Nadal uważam, że Afryka to nie miejsce dla ciebie - zakończył znużony.

- Bo co? Nie stanę na wysokości zadania albo nie zniosę trudów pracy w ciężkich warunkach? - Roześmiała się drwiąco. - Daj spokój, Jack! Sam widziałeś, na co mnie stać
- Pamiętaj, że jeden przypadek o niczym nie świadczy
- Najwyraźniej nie zamierzał ustępować. - Nie wiadomo jak będzie dalej. Niedługo sama przekonasz się, jak ciężko czasem podołać codziennym obowiązkom.
- Może masz rację, ale ja i tak wiem swoje. - Wzruszyła ramionami. - Zdaje się, że ciągle tkwimy w punkcie wyjścia
- Na to wygląda. - Kiedy spojrzał na nią przelotnie, w jego oczach dostrzegła irytację. Pewnie nie lubi, kiedy ktoś mu się sprzeciwia, pomyślała. No cóż, trafiła kosa na kamień
- Jest środek nocy - zmienił temat - a ty niewiele spałaś Lepiej idź się położyć, bo musisz mieć siłę do dalszej drogi Wyruszamy z samego rana.
- Co z Leah i dzieckiem? - zapytała sucho. - Ktoś powinien zostać przy niej do rana.
- Nie martw się o to, zaraz obudzę Kate
- Jak chcesz. W takim razie dobrej nocy. - Bardzo się starała, by nie wyczuł, że jest urażona jego decyzją. Musiał się jednak zorientować, bo spojrzał na nią badawczo.
- Meg, przecież wiesz, co miałem na myśli! - Teraz on chwycił ją za ramię i nie pozwolił odejść. - Nie chodzi o to że nie mam do ciebie zaufania.
- A o co?
- Mówiłem już, musisz odpocząć. Kilka godzin snu to więcej niż nic. - Zmęczony, potarł dłonią czoło. - To chyba normalne że pielęgniarki się zmieniają przy łóżku pacjenta prawda? W twoim szpitalu tak nie było?
- Oczywiście, że tak. Przepraszam, że zbyt pochopnie wyciągnęłam wnioski - burknęła speszona.
- A ja przepraszam, jeśli cię do tego sprowokowałem.

- Niespodziewanie uśmiechnął się i spojrzał na nią ciepło.
- Jeszcze raz dziękuję za to, co dziś zrobiłaś. Wierz mi, że naprawdę umiem docenić fachową robotę. A teraz dobranoc. Śpij dobrze.

Nie czekając na nią, ruszył w stronę swej chaty. Przez chwilę stała bez ruchu, próbując zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Skoro sam przyznał, że doskonale wywiązała się z zadania, to dlaczego wciąż jej nie ufa? Żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy, więc dała sobie spokój. Wolno poszła ku wiosce, pocieszając się w duchu, że może rano, jeśli trochę odpocznie, znajdzie rozwiązanie tej zagadki. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości - nieodgadniony Jack Trent z pewnością nieraz ją jeszcze zadziwi.

Kiedy się obudziła, słońce właśnie wynurzało się zza wierzchołków drzew. Przez chwilę leżała bez ruchu, oswajając się w myślach z faktem, że naprawdę jest w Afryce.

Wstała bez pośpiechu, po czym niechętnie wciągnęła na siebie to samo ubranie, w którym odbyła podróż. Z największą rozkoszą włożyłaby czyste rzeczy, lecz wiedziała, że jest to luksus, na który chwilowo nie może sobie pozwolić. Po pierwsze, zgodnie z poleceniem Jacka zredukowała swój bagaż do minimum, więc nie miała wielu rzeczy, a po drugie, wołała poczekać, aż dotrą do miejsca przeznaczenia, gdzie powinny być jakieś warunki sanitarne.

Posłanie Lesly było puste, więc postanowiła jej poszukać. Poza tym nie chciała, by koledzy pomyśleli sobie, że jest śpiochem albo że miga się od pracy. Szybko wyszła na dwór i przez chwilę stała oślepiona porażającą jasnością dnia. Dopiero chwilę później rozejrzała się wokół.

- Halo, tutaj! - dobiegło od strony paleniska, przy którym Lesly parzyła herbatę. - Napijesz się? - zapytała i, nie

czekając na odpowiedź, podała jej parujący kubek. - Cukier znajdziesz w tej puszcze, tylko pamiętaj, żeby ją porządnie zamknąć, bo nalezie mrówek. Jeśli chcesz mleka, to stoi w tym dzbanku.

Uprzedzam, że to kozie mleko, więc ma trochę dziwny smak, ale da się przeżyć.

- Widzę, że jesteś doskonale przygotowana - uśmiechnęła się Meg. - Nigdy w życiu bym się nie spodziewała, że w samym sercu afrykańskiego buszu ktoś poczęstuje mnie herbatą.

- Moja droga, musisz wiedzieć, że mogę obyć się bez wielu rzeczy, ale kubek porannej herbaty to nie kaprys, tylko konieczność. Bez tego nie potrafię zacząć dnia. - Widząc, jak Meg podejrzliwie wacha mleko, uśmiechnęła się pod nosem i dodała: - Przyzwyczaisz się. Zareczam, że za trzy miesiące nie poczujesz różnicy.

- Trzymam cię za słowo! - mruknęła Meg, po czym zmarszczyła nos i upiła łyk. - Może być - oceniła po chwili. - Piłam w życiu gorsze rzeczy.

- No widzisz! - roześmiała się Lesly. - Ale zamiast gadać o mleku, opowiedz mi lepiej, co wydarzyło się w nocy. Słyszałam, że mieliście z Jackiem niezłe urwanie głowy.

- Oj, tak. Przeszłam prawdziwy chrzest bojowy. Było trochę strachu, ale wszystko się dobrze skończyło. W pewnym momencie naprawdę bałam się, że stracimy i Leah, i dziecko.

- To samo mówił Jack. Podobno ich życie wisiało na włosku. O, proszę, o wilku mowa. Pewnie piekły cię uszy i dlatego tu przyszedłeś, co? - zawołała, patrząc ponad głowę Meg.

- Zgadłaś. Ale wolę nie wiedzieć, co o mnie gadacie. Mógłbym nie być zachwycony.

Meg nie musiała się odwracać, bo wyczuła, że stanął za

jej plecami. Przez chwilę miała nieprzyjemne wrażenie, że jego ironia była adresowana do niej. Z tego powodu zrobiło jej się przykro, więc kiedy usiadł obok, nawet na niego nie spojrzała.

- Dobrze spałaś? - zapytał swobodnie.

- Nie najgorzej. A ty?

- Tak sobie - mruknął i uśmiechnął się lekko, widząc jej pytające spojrzenie. - Właściwie to do rana czuwałem, na wypadek, gdyby ktoś znowu chciał mnie obudzić.

Udawała, że nie pojmuje aluzji, ale na wszelki wypadek zasłoniła się kubkiem. Miała nadzieję, że Jack nie zauważy rumieńca na jej policzkach. Dotąd słowem nie wspomniał o tym, co wydarzyło się w jego chacie. Niespodziewanie wyobraźnia spletała jej figla. Sprowokowana słowami Jacka, mimo woli przypomniawsza sobie scenę, która rozegrała się chwilę po tym, jak weszła, by go obudzić. Prawie poczuła pod palcami rozgrzaną skórę...

Obrazy były tak sugestywne, że z wrażenia zachłysnęła się herbatą. Kaszląc i prychając, gwałtownie łapała powietrze. Jack wyjął jej z ręki kubek i delikatnie klepnął w plecy.

- W porządku?

- Tak, już dobrze - wysapała, ale po chwili znowu złapał ją kaszel. Czowała się jak skończona idiotka.

Za karę, że przyszły jej do głowy kosmate myśli, powinna utopić się w herbacie! - Już mi przeszło - uśmiechnęła się zakłopotana. - Pójdę zobaczyć, jak się czuje Leah. Przy okazji zastąpię Kate.

- Poczekaj, pójdę z tobą. - Odstawił kubek z nie dopitą herbatą. - Nasze plany trochę się zmieniły, więc przy okazji powiem ci, o co chodzi.

Chcąc nie chcąc, musiała się zatrzymać, bo przecież nie było powodu, by na niego nie zaczekać.

Zwłaszcza że przez najbliższe trzy miesiące mają być ciągle razem. Musiała

przyzwyczać się do tego, że w jego obecności czuje się skrepowana. Mogła go lubić bądź nie, ale na pewno nie potrafiła go ignorować. I to nie tylko dlatego, że był jej szefem.

Ramię w ramię przeszli przez placyk, nie mówiąc po drodze ani słowa, więc gdy wreszcie weszli do chaty, poczuła ogromną ulgę. Tam kucnęli obok posłania Leah, która powitała ich słabym uśmiechem. Meg nie miała wątpliwości, że dziewczyna nie doszła jeszcze do siebie. Na pewno dokuczał jej ból, ale dopóki byli w wiosce, sprawa była prosta. Któraś z pielęgniarek co kilka godzin robiła zastrzyk przeciwbólowy. Co się jednak stanie po ich wyjeździe? Dziewczyna musi dostawać leki jeszcze przez kilka dni, poza tym ktoś powinien zmieniać jej opatrunki.

- Chcecie zbadać mojego synka? - zapytała Leah i ufnie podała Jackowi kolorowe zawiniątko. Meg z zaskoczeniem obserwowała delikatne ruchy, jakimi rozwijał chustę, a potem czułość, z jaką wziął noworodka na rękę. Drobnutkie ciało chłopca całkiem ginęło w dużych dłoniach, którymi wprawnie badał jego rączki, nóżki i główkę.

- Zuch chłopak - pochwalił małego, po czym szybko otulił go chustą. - Chyba wszystko jest w porządku - dodał z uśmiechem. - Meg, przytrzymaj go, dobrze? - poprosił, a sam zaczął badać Leah. Dziewczyna skrzywiła się, kiedy dotykał jej brzucha tuż ponad szwem.

- Wiem, że boli. Zaraz dostaniesz zastrzyk - pocieszał, a zwracając się do Meg, powiedział: - Mam nadzieję, że nie przyplącze się żadna infekcja.

- Ja też - westchnęła ciężko. - Po prostu trzeba codziennie zmieniać opatrunek. Najgorsze, że w tych warunkach nie ma co marzyć o sterylności.

- No właśnie. Ale to już twoje zmartwienie, Meg

stwierdził, podnosząc się z kolan. Ona również wstała, tknięta złym przeczuciem. Odsunął się na bok i bez słowa obserwował tłum kobiet, które natychmiast otoczyły posłanie. Kiedy spojrzał na Meg, jego twarz miała zdecydowany wyraz. Tylko w oczach dostrzegła nikły cień niepewności, który bardzo ją zaniepokoił.

- Dopóki rana się nie zablizni, trzeba bardzo uważać-powiedział z namysłem. - Leah potrzebuje dobrej opieki. Nie możemy zostawić jej w rękach tych kobiet, choć na pewno chcą dla niej jak najlepiej. - Zrobił krótką pauzę, po czym odetchnął głęboko i powiedział: - Dlatego postanowiłem, że zostaniesz tu jeszcze parę dni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zostanę tutaj...?

Głos zamarł jej w gardle. Nawet nie próbowała ukrywać, jak bardzo zszokowała ją ta wiadomość. Widząc, co się z nią dzieje, Jack wziął ją za ramię i wyprowadził z chaty. Wyglądało, jakby się obawiał, że zaraz zrobi mu scenę.

- Musimy wyjaśnić sobie parę rzeczy - rzekł spokojnie. - Nie myśl, że łatwo mi przyszło podjęcie tej decyzji. Zostajesz tu tylko i wyłącznie dlatego, że w obecnych warunkach jest to najlepsze rozwiązanie. - Starał się mówić stanowczo, jednak w pewnej chwili jego głos stracił siłę. Musi być wściekły, pomyślała. Pewnie myśli, że będę się sprzeciwiać.

- Jeśli dobrze rozumiem twoje intencje - odezwała się, patrząc mu prosto w oczy - to usiłujesz mnie przekonać, że wcale nie próbujesz się mnie pozbyć - Tak?

- Tak - odparł z lekkim zniecierpliwieniem. Zaraz jednak uspokoił się i dodał łagodniej: - Naprawdę sto razy wolałbym, żebyś jechała z nami. Ale z drugiej strony muszę myśleć realnie. Wiem, że nikt inny nie zapewni Leah lepszej opieki. Kate i Lesly są bardzo dobrymi pielęgniarkami, ale żadna z nich nie ma doświadczenia z pacjentami po operacji. Rozumiesz?

- Tak.

To jednak wcale nie znaczyło, że była zachwycona tym pomysłem. Perspektywa pozostania w wiosce, gdzie miała być zdana wyłącznie na siebie, nie napawała jej optymizmem.

Z drugiej strony wiedziała, że da sobie radę. Widocznie Jack też musiał w to wierzyć, bo inaczej nie obdarzyłby jej zaufaniem. A to może oznaczać, że w ich stosunkach nareszcie nastąpi przełom.

Postanowiła kuć żelazo póki gorące i, nie czekając, aż Jack się rozmyśli, zapytała rzeczowo:

- Jak długo będę musiała tu zostać?

- Trzy góra cztery dni. Jeśli do tego czasu nie zauważysz oznak infekcji, możesz do nas dołączyć.

Sama zdecydujesz, czy Leah czuje się już na tyle dobrze, żeby ją zostawić pod opieką kobiet z wioski. Rozmawiałem z Mojżeszem. Zobowiązał się, że wróci po ciebie i przywiezie cię do naszej bazy - wyjaśnił, a w pewnej chwili uśmiechnął się szeroko i dodał- - Nie ma obawy, znajdziecie nas. W końcu me można nie zauważyć starego parowozu, który ciągnie za sobą szpital na kółkach. , .

- To jest pocieszające. - Roześmiała się, wyraźnie spokojniejsza, gdyż powoli zaczynała oswajać się z myślą, że zostanie sama. - Ale co z wami? Beze mnie Lesly i Kate będą miały sporo dodatkowej pracy.

- Jakoś sobie poradzimy - uspokoił ją. - Pierwsze dni nie będą takie ciężkie, bo będziemy się urządzali. Zresztą - popatrzył na nią znacząco - w czasie takich wyjazdów trzeba reagować elastycznie.

- Tak, pamiętam, jak rozmawiałeś o tym z Rorem. Powinna była wziąć sobie twoje słowa do serca.

- To miał być żart, ale on musiał potraktować ją poważnie, bo powiedział:

- Posłuchaj Meg, ja naprawdę nie chcę cię do niczego zmuszać. Jeśli nie odpowiada ci, że zostajesz tu sama, powiedz. Naprawdę nie będę miał ci tego za złe. Masz prawo mieć wątpliwości, zwłaszcza że nigdy nie pracowałaś w takich warunkach.

- Czyli nie zapiszesz mi tego po stronie minusów?

- Po stronie minusów? - Spojrzał na nią, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza. Dopiero po chwili uśmiechnął się lekko, przez co jego twarz wydała się jeszcze przystojniejsza. Uśmiech dodał mu chłopięcego uroku, który przyjemnie łagodził surowość rysów. - Wiesz, że to niegłupi pomysł? Gdybym po jednej stronie zanotował wszystkie twoje plusy, a po drugiej minusy, to byłoby dużo prościej.

- Co byłoby prościej? - zapytała szorstko.

- Ocenić cię. Zorientować się, co cię motywuje do pracy, a potem przekonać się, co zyskamy, mając cię w zespole.

Poczuła się głęboko dotknięta jego słowami. Może miał to być żart, ale i tak zabolalo.

- A mnie się zdawało, że ty już dawno wydałeś na mnie wyrok - powiedziała uszczypliwie, po czym obróciła się i ruszyła w stronę zabudowań.

- Zaczekaj, Meg... - Chwycił ją za rękę. - To nie tak...

- Jack, można na minutkę? - Rory wyszedł zza jednej z chat i z daleka machał w ich kierunku. Puścił ją, ale wahał się, co zrobić. Widocznie uznał, że rozmowa z nią może poczekać, bo ruszył w stronę Rory'ego.

- Lepiej zobaczę, o co chodzi. Obiecuję dopilnować, żeby ci niczego nie zabrakło - rzucił na odchodnym.

Poszła w stronę samochodów, mocno ściągając łopatki, jakby wyprostowane plecy mogły dodać jej pewności siebie. Po tym, co przed chwilą usłyszała, nie mogła mieć już wątpliwości. Nie jest dla niego niczym więcej jak jeszcze jedną parą rąk do pracy. Miał gdzieś jej uczucia. Nie interesowało go, że miała prawo poczuć się dotknięta, a nawet przestraszona myślą o tym, że musi zostać w wiosce. Jedyne, czego od niej oczekiwał, to żeby wykonywała polecenia. W końcu przyjechała tu do pracy, a nie na wczasy. Tyle tylko, że nie

przewidziała wszystkich okoliczności. Skąd na przykład mogła wiedzieć, że nagle zapragnie, by Jack widział w niej nie tylko podwładną, ale także kobietę?

- Trzymaj się, dziecino! - Rory uściśnął ją serdecznie. - Pociesz się, że ominie cię rozpakowywanie sprzętu i urządzenie szpitala. A musisz wiedzieć, że to bardzo traumatyczne przeżycie - dodał. - Jak do nas dołączysz, będziemy już w pełnej gotowości bojowej.

Roześmiała się z przymusem, gdyż w głębi duszy nie miała ochoty na żarty. Teraz, kiedy koledzy zbierali się do odjazdu, opadły ją tysiące wątpliwości, czy sobie poradzi, czy niczego nie zaniedba. Widocznie jakiś cień tych myśli pojawił się na jej twarzy, bo gdy się żegnała z Lesly, koleżanka przyjrzała jej się uważnie i zapytała z troską:

- Naprawdę wszystko w porządku? Mnie możesz powiedzieć. Jeśli chcesz, zaraz pogadam z Jackiem, żebyś jechała z nami.

- Dziękuję, Lesly, ale naprawdę nie ma problemu. Wiesz, że dam sobie radę! - oznajmiła nonszalancko.

- Pewnie, że tak! - Lesly odetchnęła z ulgą. - Czasem zachowuję się jak kwoka, która nie lubi, gdy kogoś brakuje w kurniku. Moje dzieciaki dostają od tego szału. - Uśmiechnęła się ciepło i jeszcze raz pocałowała Meg. - Nie dawaj się! - powiedziała, wsiadając do ciężarówki.

- Niedługo się zobaczymy! - zawołała Kate.

Meg machała na pożegnanie i uśmiechała się pogodnie, chociaż od tego udawania radości już bolały ją mięśnie twarzy. Dlatego odetchnęła, gdy ciężarówka ruszyła z miejsca, oznajmiając odjazd tak donośnym klaksonem, że kto żyw w wiosce przybiegł zobaczyć, co się dzieje. Spod grubych kół wzbił się gęsty tuman kurzu, więc Meg odskoczyła na

bok, wpadając przy okazji na kogoś, kto stał tuż za nią. Odwróciła się, by przeprosić, kiedy jednak okazało się, że to Jack, na chwilę zaniemówiła.

- Bardzo cię przepraszam - bąknęła. - Nic ci nie zrobiłam?

- Skąd! - Uśmiechnął się przyjaźnie i obserwował samochody niknące wśród zarośli. - Zostałem, bo chcę jeszcze raz wszystko z tobą omówić - wyjaśnił, gdy na drodze pozostały już tylko obłoki rudego pyłu. - Postanowiłem, że Mojżesz zostanie w wiosce, a ja sam poprowadzę trzecią ciężarówkę.

- To dobrze. Na pewno nie chciałby zostawiać teraz Leah i dziecka.

- Pewnie tak, ale mnie chodziło głównie o ciebie - przyznał, idąc z nią w stronę zabudowań. - Jak widzisz, nie jestem całkiem pozbawiony Judzkich uczuć - dodał ze śmiechem. - Rozumiem, że czujesz się niepewnie. Zwłaszcza że poza Mojżeszem i Leah prawie nikt nie mówi po angielsku. Po prostu - zawahał się, jakby nagle zabrakło mu słów - chciałem być pewny, że w razie potrzeby będziesz miała się do kogo zwrócić o pomoc.

- Dziękuję.

Wiedziała, że nie jest mu łatwo rozmawiać z nią o pobudkach, które nim kierowały. Dlatego ujęła ją nie tylko troska o jej bezpieczeństwo, ale i szczerść, z jaką się do tego przyznał. Uśmiechnęła się, lecz pilnowała, by nie wyglądać na zbyt uszczęśliwioną faktem, że potraktował ją tak łaskawie. On również odpowiedział uśmiechem, któremu towarzyszyło przeciągłe spojrzenie. Z wyrazu jego oczu wywnioskowała, że patrzeć na nią sprawia mu przyjemność. Bez fałszywej skromności mogła powiedzieć, że nie jest pierwszym mężczyzną podziwiającym jej urodę. Ona sama uważała, że piękne jasne włosy, delikatne rysy oraz urzekający

uśmiech to nic więcej jak szczęśliwa kombinacja genów. Nigdy nie robiła ze swojego wyglądu wielkiej sprawy, tym razem jednak ucieszyła się, że Jack uważa ją za atrakcyjną kobietę.

- Nie kłamałeś, mówiąc, że podczas takich wyjazdów pielęgniarki niewiele różnią się od lekarzy pierwszego kontaktu - stwierdziła, gdy powtarzał jej, jakie leki ma podawać Leah.

- Ja zawsze mówię to, co myślę - skwitował bez uśmiechu. - Oszczędza to wielu niepotrzebnych komplikacji.

W pierwszym odruchu pomyślała, że może powinna potraktować te słowa jak ostrzeżenie, więc na wszelki wypadek postanowiła wziąć sobie do serca tę uwagę.

- Ja też jestem zwolenniczką szczerości - oznajmiła, patrząc mu w oczy - ale nie za wszelką cenę. I nie do bólu. Zwłaszcza że bardzo często nie znamy wszystkich okoliczności, więc nie możemy trafnie ocenić osób czy sytuacji. Nie zapominaj, że pozory mylą.

Bez słowa skinął głową, jednak drobny grymas ust i wyraz oczu zdradziły jej, że pocisk sięgnął celu.

- No widzisz - powiedział obojętnie - od czasu do czasu się zgadzamy. Skoro nie masz już pytań, będę się zbierał. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka dni dołączysz do zespołu. Ktoś po ciebie przyjedzie. - Przez usta przemknął mu cień uśmiechu, tak bezosobowy jak ton, którym do niej mówił. Nie tracąc czasu na serdeczności, zwinnie wskoczył do szoferki i wkrótce ciężarówka znikła za zakrętem.

W pierwszej chwili zaniemówiła ze złości. Potem kilka razy otworzyła i zamknęła usta. Miło byłoby usłyszeć „do widzenia”, albo jeszcze lepiej „uważaj na siebie”. Pożegnalne skinienie dłoni też by nie zaszkodziło, zwłaszcza że nic nie kosztowało. Zła jak osa pobiegła do swej chaty. Po drodze

uświadomiła sobie, iż największy żal brał się stąd, iż po odjeździe Jacka poczuła się opuszczona i strasznie samotna.

- No, Leah, nie jest źle. Pięknie się goi! - powiedziała czwartego dnia rano, kładąc świeży opatrunek. Miała pełne prawo czuć się usatysfakcjonowana, bo dzięki jej staranności rana nie została zainfekowana, a Leah mogła się już obywać bez środków przeciwbólowych. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku poprawiło jej humor, więc ze złośliwym uśmiechem pomyślała sobie, że Jack znowu będzie musiał zapisać jej coś na plus.

(Tak bardzo się starała, by niczego nie zaniedbać, że jej codzienny rytuał stał się widowiskiem, na które zbiegało się pół wioski. Mieszkańcy z zaciekawieniem obserwowali, jak myła narzędzia, parzyła je wrzątkiem, a potem starannie szorowała dłonie. Pewnie na początku brali ją za wariatkę. Być może w normalnej sytuacji czułaby się stremowana, mając taką widownię, tu jednak sprawy wyglądały inaczej. Wiedziała, że zaspokajając naturalną ciekawość tubylców, szybciej zdobędzie ich zaufanie. Takie podejście dało efekty, bo gdy tylko przekonali się, że czary białej doktor przynoszą skutek, zaufali jej na tyle, że zaczęli przysyłać do niej swoje dzieci. Przez ostatnie dwa dni opatrzyła kilka skaleczeń i innych dziecięcych kontuzji oraz pomogła paru starszym osobom.

Wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie uporczywe myśli o Jacku. Dopadały ją nawet wtedy, gdy po ciężkim dniu kładła się spać. Wystarczyło, że przymknęła oczy, a widziała jego twarz. Jeszcze gorzej, kiedy zaczynała o nim myśleć w czasie pracy, bo wtedy trudno jej było skupić się na czynnościach, które wymagały przytomności umysłu. O ileż byłoby prościej, gdyby mózg działał jak komputer, pomyślała, kończąc opatrywanie Leah. Wtedy wystarczyłoby tylko nacisnąć właściwy klawisz, i Jack Trent zostałby usunięty z jej pamięci.

Uśmiechnęła się leciutko do swoich myśli, po czym sięgnęła po zawiniątko z noworodkiem. Każdego dnia, gdy zrobiła wszystko przy matce, z radością bawiła się przez chwilę z dzieckiem. Brała je na ręce, przytulała i kołysała, a ono mruczało cichutko i patrzyło gdzieś w przestrzeń wielkimi oczkami, które jeszcze nie potrafiły skupić się na jednym punkcie.

- Jak tam, koteczku? - szeptała, całując mięciutkie kędzierzawe włoski. Odruchowo przytuliła chłopczyka do piersi, a ten natychmiast otworzył buzię i zaczął szukać sutka.

- Obawiam się, maleńki, że nic z tego. Na mleczko musisz pójść do mamy.

Roześmiana podniosła wzrok, by zobaczyć, kto wszedł do chaty. Prędzej spodziewałaby się diabła niż Jacka, nic więc dziwnego, że zaniemówiła. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, próbując opanować zamęt w głowie. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa i tylko świadomość, że zachowuje się jak gapowata nastolatka, pomogła jej jako tako oprzytomnieć. Jeśli dalej będę się na niego gapić jak cieleń na malowane wrota, to tylko upewnię go w przekonaniu, że przyjął do zespołu ofertę, pomyślała wściekła w równym stopniu na siebie, co na niego.

- A co ty tu robisz? Przyjechałeś sprawdzić, czy czegoś nie zawałam?

Tym razem on zaniemówił, i jakby tego było mało, wyraźnie się zaczerwienił. Przemknęło jej przez myśl, iż musiał być okropnie zły, że go przejrzała. Widok tego z na? tury pewnego siebie mężczyzny, który teraz stał bezradny jak dziecko, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, wywarł na niej

ogromne wrażenie. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek zobaczy go w takiej sytuacji.

- Nie przyjechałem tu, żeby cię sprawdzać!

Nie powiedziała ani słowa, jedynie spojrzała na niego, robiąc sceptyczną minę. Efekt był natychmiastowy. Czerwone plamy na jego policzkach stały się jeszcze ciemniejsze i spłynęły na szyję. Mruknął coś pod nosem i jak oparzony wypadł na dwór. W osłupieniu wpatrywała się w jasny otwór wejścia, nie do końca pewna, czy to, co przed chwilą widziała, nie było wytworem wyobraźni. Dopiero cichutki śmiech Leah przywołał ją do porządku. Drgnęła jak obudzona ze snu i spojrzała pytająco na pacjentkę.

- Twój mężczyzna jest taki sam jak mój Mojżesz - szepnęła dziewczyna. - Ucieszył się, że cię widzi, ale nie dał po sobie poznać. Bał się, że jak pokaże, że za tobą tęsknił, to ty sobie pomyślisz, że on jest słaby.

- Że za mną tęsknił...? - powtórzyła Meg. - To mało prawdopodobne.

Jednak ziarno padło na podatny grunt. Mózg natychmiast zaczął pracować, podsuwając kolejne możliwości. Jeśli faktycznie tak było, jeśli brakowało mu jej przez tych kilka dni, to może dlatego tak dziwnie zareagował, gdy oskarżyła go, że ją szpieguje. I może dlatego tak bardzo się zawstydził. Ta myśl podziałała jak impuls, który wyrwał ją z bezruchu. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, wyszła z chaty prosto w porażającą jasność słońca.

Modliła się w duchu, by Jack się nie obraził i nie wyjechał, zostawiając ją własnemu losowi.

Rozsądek mówił jej, że człowiek tak odpowiedzialny jak on na pewno by tego nie zrobił. Zaczęła więc zastanawiać się, dokąd mógł pójść. Zdażyła poznać otoczenie wioski, dlatego wiedziała, że w pobliżu są dwa w miarę ustronne miejsca. Pierwszym była wąska

rzeczka, w której kobiety prały, a drugim małe jeziorko, gdzie chodziły się kąpać. Postanowiła poszukać go właśnie tam.

Intuicja jej nie zawiodła, bo gdy tylko wyszła zza kępy krzewów, dostrzegła go wpół leżącego na kamieniu, tuż obok miejsca, z którego sączyła się woda. W pierwszej chwili miała ochotę zawrócić, jednak gdy mu się dokładniej przyjrzała, postanowiła zostać. Sprawiał wrażenie smutnego, jakby zagubionego. W wyrazie jego twarzy było coś, co sprawiało, że gdy na niego patrzyła, serce ścisnęło jej się z żalu. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, że nie może go tak zostawić.

- Mogę się przysiąc? - zapytała półgłosem.

- Siadaj - odparł przesadnie suchym tonem. Bezradny człowiek, którego obserwowała przed chwilą, zniknął, a jego miejsce zajął znany jej, mało sympatyczny doktor Trent. A Leah uznała, że on za nią tęskni! Też coś!

Posłusznie przysiadła na kępie trawy, rozpaczliwie szukając słów, od których mogłaby zacząć. Jack wybawił ją z kłopotu.

- Chcę ci jeszcze raz powiedzieć, że nie przyjechałem tu, żeby cię kontrolować - oświadczył. - Gdybym choć przez chwilę wątpił w twoje możliwości, na pewno nie zostawiłbym cię samej.

- Mam rozumieć, że to był komplement?

- Możesz to sobie rozumieć, jak chcesz.

- W takim razie dziękuję bardzo. Miło słyszeć, że szef ma do mnie aż takie zaufanie. Człowiek lubi być doceniony.

- Co masz na myśli?

- To, co chcesz - odgryzła się, i już po chwili żałowała, że zachowuje się tak dziecinnie. Na usprawiedliwienie zostawało jej to, że nie ona zaczęła tę słowną przepychankę.

Tymczasem on zareagował w sposób, jakiego się nie spodziewała. Po prostu roześmiał się na całe gardło, jakby właśnie usłyszał świetny dowcip.

- Na wszystko znajdziesz odpowiedź, co, Meg? Nie przypominam sobie, żebyś wspomniała o tej cennej umiejętności w swoim życiorysie.

- Może się nie wczytałeś? - odparła z uśmiechem, bo udzielił jej się jego nastrój. Patrząc na niego, kolejny raz zastanowiła się, czy miał pojęcie o tym, jak bardzo był przystojny, kiedy się śmiał.

Chyba nie, bo wtedy na pewno robiłby to częściej i jakaś szczęściara złowiłaby go już wieki temu. Póki co, strata tej kobiety była jej wygraną. - Co się stało? - zapytała w końcu, bo przecież nie mogła tak siedzieć i patrzeć w niego jak w obraz.

- Nic. A właściwie wszystko. Sam nie wiem. I nawet nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu nigdy dotąd nie miałem tego typu problemów z oceną moich pracowników. Powiedz mi, jak ty to robisz, że wszystko tak się komplikuje?

Dla własnego dobra wołała nie odpowiadać na to pytanie. Uśmiechnęła się tylko, co on skwitował westchnieniem.

- Wiem, że to idiotyczne pytanie - mruknął - więc nie musisz odpowiadać. Wróćmy jednak do tego, o co ty pytałaś. Chciałaś wiedzieć, co tu robię. Postanowiłem zorganizować ci wygodny dojazd do naszej bazy. Po tym, jak cię zostawiłem na pastwę losu, uznałem, że zasługujesz na coś lepszego niż zdezelowana ciężarówka. - Wstał. - Chodź i sama zobacz, co udało mi się zdobyć. - Wyciągnął rękę i pomógł jej się podnieść.

- Ciekawe, co też mogłeś wynaleźć w tym buszu.

- Zaraz zobaczysz.

Wrócili do wioski, gdzie w cieniu kępy drzew stał ciemnozielony terenowy landrover.

- Skąd wytrzasnąłeś takie чудо?
- Powiem szczerze, że nie było to łatwe. Zajął mi to trochę czasu i wymagało cierpliwych negocjacji, ale jak widzisz, dopiąłem swego - odrzekł wymijająco, pochłonięty śledzeniem ruchu jej dłoni, którą dotykała zakurzonej karoserii. Auto nie było nowe, ale w tych warunkach mogło śmiało uchodzić za szczyt luksusu.
- Nie bądź taki tajemniczy. Skąd go masz?
- Wspominałem ci już o Richardzie, prawda? To on zaproponował, żebym pojechał po ciebie tym samochodem. Powiedział, że przynajmniej tyle może zrobić dla tych, którzy pomagają jego ludowi.
- Richard?
- Tak! - przytaknął Jack. - Władca Onkamby. W języku tubylców nazywa się tak, że nie sposób tego wymówić, ale nam pozwala zwracać się do siebie per Richard. Używał tego imienia przez całe dwadzieścia lat, kiedy mieszkał za granicą.
- Mieszkał za granicą?
- Tak. Parę lat temu zdecydował się wrócić i przejąć władzę. Podziwiam go za to, co próbuje tu zrobić. To naprawdę niesamowity człowiek. Jestem pewien, że go polubisz.
- Wystarczy, że spojrzę na to cacko, i już go lubię, ba, nawet Kocham. Czuję się, jakbym wygrała los na loterii. - Śmiała się, próbując obrócić w żart sytuację, która zaczynała wymykać się jej spod kontroli. - Wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj? - zapytała.
- To zależy od ciebie. A dokładnie od tego, jak oceniasz stan swojej pacjentki.
- Myślę, że wszystko z nią w porządku. Nie będę jej już potrzebna.
- Doskonale. W takim razie możemy zaraz jechać. Zda-

żyliśmy się urządzać i nawet zrobiliśmy już dwa przystanki. Zresztą opowiem ci o wszystkim po drodze.

- Fajnie. Potrzebuję godziny na spakowanie. Czy mógłbyś w tym czasie zobaczyć pacjentów, którymi się zajmowałam?

- Pacjentów? - Zaskoczony uniósł brwi, a ona przestraszyła się, że zaraz ją zbeszta za przekroczenie obowiązków.

- Tak - rzekła stanowczo. - Przyszło do mnie parę osób, które potrzebowały pomocy. Więc im pomogłam.

- Świetnie. Chętnie na nich spojrzę. - Zerknął na zegarek. - Wyjedziemy o jedenastej. Zdasz?

- Myślę, że tak.

Kiedy szli do chaty Mojżesza, ze szczęścia czuła się lekka jak piórko, bo Jack wyraźnie zaczynał liczyć się z jej zdaniem. A kiedy po zbadaniu pacjentów zgodził się z jej diagnozą i sposobem leczenia, pęczniała z dumy.

Radość dodała jej skrzydeł, więc pakowanie poszło piorunem. Pogodny nastrój prysł, gdy przyszło pożegnać się z rodziną Mojżesza. Ze łzami w oczach wyczuwała się z Leah, a kiedy pochyliła się nad śpiącym dzieckiem, ze wzruszenia ścisnęło ją w gardle. Kiedy patrzyła na okrągłą, słodką buzię chłopczyka, wiedziała, że nigdy o nim nie zapomni. Może pewnego dnia wróci tu, by zobaczyć, jak wyrósł. Zrezygnowała z tego pomysłu w chwili, gdy Mojżesz chwycił ją w swe potężne ramiona.

- Doktor Meg, doktor Meg - powtarzał wzruszony. -Bardzo pani dziękuję. Za wszystko, co pani dla nas zrobiła.

- Nie ma o czym mówić, Mojżeszu. Opiekuj się rodziną, najlepiej jak potrafisz - wystękała ledwie żywa.

Prawie wszyscy mieszkańcy zebrali się na placu, by pomachać im na pożegnanie, a gromada dzieciaków biegła za nimi, dopóki samochód nie zniknął za zakretem.

- Wiesz, że naprawdę będzie mi ich brakowało. - Odwróciła się, by ostatni raz popatrzeć na rzędy chat. - Nie mówiliśmy tym samym językiem, a mimo to udało nam się dogadać.
- Tak to jest, kiedy ktoś posiada dar empatii - odparł. - Widocznie ci ludzie wyczuli, że zależy ci na nich.

Milczała, nie wiedząc, jak zareagować na ten niespodziewany komplement. - Kiedy Jack zachowywał się w taki sposób, czuła się, jakby niewidzialna dłoń zdejmowała z jej pleców przytłaczający ciężar. Przez całą drogę był dla niej bardzo miły. Okazało się, że rozmowa z nim może być prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza że rozmawiali nie tylko o sprawach zawodowych. Gdy po kilku godzinach jazdy zatrzymali się na małym wzniesieniu, nie czuła się nawet zmęczona. Z ciekawością spojrzała w kierunku, który jej wskazał. Tam, w niewielkiej dolinie, stał ich szpital.

- A oto i on, „Anioł z Onkamby” - oznajmił, me kryjąc dumy. - Podoba ci się?

- Jest fantastyczny! - zawołała poruszona.

Żadne inne określenie nie przychodziło jej do głowy, gdy patrzyła na potężną lokomotywę i kilka wagonów, które w ostrym popołudniowym słońcu lśniły czerwienią świeżej farby. Na tle krajobrazu, w którym przeważały zszarzałe zielenie i wypalone słońcem brązy, pociąg wyglądał jak zabawka,

- Zjechali ze wzgórza, nic już do siebie nie mówiąc. Meg była bardzo ciekawa, jak wygląda z bliska jej nowe miejsce pracy. Przed drzwiami jednego z wagonów stała kolejka osób, które cierpliwie czekały, aż przyjmie je lekarz. Widząc Meg, pacjenci rozstąpili się, by mogła wejść do środka. Kiedy zorientowała się, że w gabinetach trwają zabiegi, posta-

nowiła zaczekać, aż Jack przyniesie z samochodu bagaże. Ponieważ trochę to trwało, bo ktoś go zatrzymał, miała czas, żeby uważnie się rozejrzeć.

- Cześć! Ty musisz być Meg - odezwał się miły kobiecy głos. - Ja jestem Alison Graham, radiolog, laborant, technik i służąca w jednej osobie.

Meg odwróciła się, ciekawa osoby, która powitała ją w tak niekonwencjonalny sposób. Za jej plecami stała niska, pulchna brunetka o wesołym spojrzeniu. Już miała otworzyć usta, by powiedzieć Alison coś miłego, gdy nagle zdała sobie sprawę, że tamta przygląda się jej z taką miną, jakby nagle zobaczyła ducha.

- Coś nie tak?

- Nie, nie. Przepraszam, ale... jesteś do kogoś bardzo podobna i dlatego... - bąknęła Alison niewyraźnie.

- Tak? A do kogo? - zainteresowała się Meg.

- Eee, nie ma o czym mówić. - Alison uśmiechnęła się z wyraźnym przymusem. - Nie wiem, jak mogłam wziąć cię za Briony. Chyba muszę poprosić Jacka, żeby zbadał mi wzrok.

Meg roześmiała się, mając nadzieję, że w ten sposób rozładuje sytuację. Nie zamierzała jednak zupełnie zignorować informacji o istnieniu swojego sobowtóra.

- A kto to jest, ta Briony? To twoja koleżanka?

- Niezupełnie... - Alison była bardziej spięta. - Właściwie nawet jej dobrze nie znałam, bo widzisz, jakby ci to powiedzieć... Briony była żoną Jacka.

Po tym stwierdzeniu zapadła cisza.

- Na pewno o niej słyszałaś - ciągnęła Alison. - Briony James, znana modelka. Jack rozwiódł się z nią parę lat temu, ale bardzo to przeżył, bo strasznie ją kochał. Szczerze mówiąc, nie wiem za co, bo była dla niego naprawdę okropna.

W każdym razie od tamtego czasu bardzo się zmienił. - Mówiła szybko, zupełnie jakby nie mogła powstrzymać potoku słów - Zamknął się w sobie, rzadko się śmieje, unika kobiet, zwłaszcza tych atrakcyjnych. Oczywiście bez obrazy - zakończyła, czerwona jak burak. Ponieważ Meg nadal me me mówiła, Alison dodała szybko: - Jestem pewna, że to w żaden sposób nie wpłynie na stosunek Jacka do ciebie.

- Jasne, że nie - potaknęła Meg, czując, że od wymuszonego uśmiechu sztywnieją jej policzki.

Czy to możliwe, by Jack zobaczył w niej byłą żonę i dlatego jest dla niej taki oschły?

Gdy tylko Jack wszedł do wagonu, Alison pobiegła do swych zajęć. Nim znikła w przedziale, zdążyła rzucić Meg błagalne spojrzenie, które mówiło: tylko mnie nie wydaj. Najwyraźniej osoba byłej żony szefa była dla zespołu tematem tabu Alison nie musiała martwić się o swą skórę, bowiem Meg nie zamierzała drażnić sprawy, choć wiedziała, że rewelacje, które przed chwilą usłyszała, długo me dadzą jej spokoju.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Proszę sobie usiąść i chwilę poczekać, dobrze?

Meg zaprosiła kobietę do przedziału służącego za poczekalnię, w którym siedziało już około tuzina osób. Pierwsi pacjenci zjawili się tuż po otwarciu punktu medycznego czyli o siódmej rano. I choć było już południe, kolejka ani na moment nie zmaląła.

Właśnie minął tydzień, odkąd Meg dołączyła do zespołu. Każdy z tych siedmiu dni był tak samo morderczy. Liczba osób zgłaszających się po poradę przerosła jej najśmielsze oczekiwania, jednak szybko przywykła do tej sytuacji. Prawdę mówiąc, warunki były dużo lepsze, niż się spodziewała. Co prawda w przedziałach było trochę ciasno, ale dało się wytrzymać. Po przeróbkach pociąg miał własny generator i system uzdatniania wody, dzięki czemu byli niemal samowystarczalni. Co do sprzętu i wyposażenia, to nie odbiegał od światowych standardów. Zarówno amerykańska firma, która wyposażyła dwie salki operacyjne, jak i angielska firma farmaceutyczna dostarczająca leki stanęły na wysokości zadania.

Nad sprawnością pociągu oraz sprzętu czuwało dwóch brytyjskich inżynierów, którzy przy okazji szkolili miejscowych techników. Meg nie mogła wyjść z podziwu, jak precyzyjnie zostało przygotowane całe przedsięwzięcie. Wiedziała, że w tym przypadku nie mniej ważna niż hojność

sponsorów była niewyczerpana energia Jacka. To on był motorem, mózgiem i dobrym duchem tej niezwyklej akcji.

Intensywna praca męczyła ją, lecz miała także swe dobre strony, bowiem nie pozwalała jej myśleć o pechowym małżeństwie Jacka ani o tym, jaki wpływ ma ta historia na jej obecną sytuację. Teraz też skupiła się na kolejnej pacjentce.

- Proszę dać jej numerek i skierować na badania ogólne, a potem ginekologiczne - poprosiła Lavinie, miejscową dziewczynę, która pracowała jako rejestratorka i tłumaczka.

- Dobrze. Czy doktor Jack jest gotowy, żeby przyjąć następnego pacjenta?

Meg spojrzała w stronę zamkniętych drzwi, za którymi mieścił się gabinet, po czym pokręciła głową.

Gdy Jack zaproponował, żeby z nim pracowała, poczuła się zaskoczona. Była pewna, że wybierze Lesly albo Kate. Na początku myślała cynicznie, że padło na nią, bo chciał ją mieć cały czas na oku. Szybko jednak dała sobie spokój z takimi pomysłami. Nie mogłaby dobrze pracować ze świadomością, że cały czas ktoś ją kontroluje.

Drugim powodem, dla którego uwierzyła w szczerą intencję Jacka, był fakt, że ani razu nie okazał jej braku zaufania. Co więcej, ich współpraca układała się doskonale. Na wszelki wypadek Meg miała się jednak na baczności. Wiedziała, że wszystko może się zmienić dosłownie w jednej chwili. Bezszelestnie wsunęła się do mrocznego gabinetu, gdzie na środku stał fotel okulistyczny, na którym Jack właśnie badał wzrok starszemu mężczyźnie.

- Zapal światło, Meg - poprosił i z westchnieniem wyłączył swoją latareczkę.

- Coś poważnego? - zapytała, gdy odwołał ją na bok.

- Niestety. Kolejny zaawansowany przypadek jaglicy.

- Jest bardzo źle?

- Obawiam się, że tak. Przy takim stadium choroby niewiele można już zrobić - szepnął sfrustrowany. - Rogówka prawego oka jest bardzo zniszczona, i jedynym ratunkiem byłby przeszczep. Może uda mi się uratować lewe oko, ale szanse są niewielkie.

- Powiem Lavinii, żeby umieściła go na liście oczekujących na zabieg. Antybiotyki te co zwykle?

- Mhm - mruknął zamyślony. - Może za wiele nie pomogą, ale na pewno nie zaszkodzą.

Przynajmniej będę miał spokojne sumienie, że jednak coś robię.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Nie miała wątpliwości, że musiał być bardzo zmęczony i może nawet trochę zniechęcony rozmiarami problemów, jakie zastali w Onkam-bie. Już po tym pierwszym tygodniu zorientowali się, że jaglica i inne choroby oczu osiągnęły rozmiary epidemii. Zarazki wywołujące zapalenie są przenoszone przez muchy, więc trudno było zlikwidować źródło infekcji, która, nie leczona, często prowadziła do całkowitej utraty wzroku.

- Jack, nie traktuj tego tak osobiście - poprosiła łagodnie. - Robisz wszystko, co możesz w tych warunkach. Jesteś lekarzem, a nie szamanem.

- Tak jest, proszę pani - odparł i wyprężył się jak żołnierz, czym natychmiast sprowokował ją do śmiechu.

- I tak trzymać! - Bez trudu podchwyciła żartobliwy ton. Kiedy szła po kolejnego pacjenta, chciało jej się śpiewać.

Jack wreszcie uznał ją za pełnoprawnego członka ekipy. A może to tylko pozory? Gdy chwilę potem patrzyła, jak łagodnie Jack obchodzi się z małą dziewczynką, uświadomiła sobie, że zawodowe uznanie z jego strony już jej nie wystarcza. Parę tygodni wcześniej pewnie byłaby w siódmym niebie, a teraz czuła niedosyt.

Łagodne odgłosy nocy stanowiły ukojenie po gwarze gorączkowego dnia. Meg stała na tylnej platformie wagonu i rozkoszowała się tą nieznaną muzyką, płynącą ku niej z gęstej ciemności. Za plecami miała pomieszczenie, które za dnia pełniło funkcję poczekalni, wieczorem zaś zamieniało się w salon. Jej koledzy siedzieli przy wąskim, długim stole i zaśmiewali się z dowcipów, którymi Rory sypał jak z rękawa. Ona również uśmiechnęła się pod nosem, choć wcale nie była w nastroju do żartów. Czuła, że potrzebuje samotności.

- Ojej, przepraszamy bardzo - usłyszała nagle spłoszony głos Alison. - Naprawdę nie chcieliśmy przeszkadzać.

- Wcale mi nie przeszkadzacie. Wchodźcie śmiało - zachęciła ich przyjaznym gestem.

Bardzo lubiła tę parę. Podziwiała ich za to, że będąc młodym małżeństwem, zdecydowali się na taki wyjazd. Zresztą nie po raz pierwszy, bo Onkamba była ich trzecią wyprawą. Ta sympatyczna dwójka była chodzącym dowodem na to, że ludzie często dobierają się na zasadzie kontrastu. Żywiołowa, czasem wręcz roztrzepana Alison stanowiła całkowite zaprzeczenie Guya, z jego spokojnym, trzeźwym spojrzeniem na świat.

Meg zazdrościła im wzajemnej fascynacji, którą widać było na każdym kroku. Sama miała w życiu wielu bliższych lub dalszych „narzeczonych”, ale z żadnym nie czuła się naprawdę związana. Właściwie zwątpiła, czy kiedykolwiek spotka człowieka, z którym będzie chciała spędzić życie. Czasem martwiła się, że przydarzy jej się to co Jackowi. Woląла nawet nie myśleć, co by było, gdyby jej związek nie wytrzymał próby czasu.

Myśl o małżeństwie Jacka obudziła uśpioną ciekawość. Wiedziała, że jego życie prywatne nie powinno jej obchodzić,

jednak potrzeba poznania prawdy była silniejsza niż zdrowy rozsądek. Zdecydowała, że musi dowiedzieć się więcej.

- Piękna noc - zagadnęła, zaskoczona tym, że jeśU chce, potrafi być podstępna. - Chyba miło być na takim wyjeździe, kiedy ma się obok kogoś' bliskiego. Lubicie razem wyjeżdżać?

- Pewnie! Jest świetnie. Prawda, Guy? - Alison wzięła męża pod ramię, nieświadomie demonstrując tym gestem swoje ogromne przywiązanie. - Zgłosiłam się do agencji, bo nie zniosłabym, że Guy pojechał beze mnie.

Meg posłała obojgu uśmiech pełen zrozumienia.

- Wyobrażam sobie, że długa rozłąka to ogromny stres dla kochającej się pary. Czy małżeństwo Jacka rozpadło się właśnie z powodu jego wyjazdów?

- Nie, raczej nie. - Alison chwyciła przynętę. - Może się mylę, ale wydaje mi się, że były poważniejsze powody.

- Daj spokój, AU. - Guy próbował przystopować znaną z gadulstwa żonę. - Nie powinniśmy mówić o sprawach, które nas nie dotyczą. Przecież to, co słyszeliśmy, mogło być plotką.

- Plotką! - zaperzyła się AUson. - Ty chyba nie wiesz, co mówisz. Ta kobieta miała więcej kochanków niż ja włosów na głowie! A ty mi mówisz, że to plotki! Bóg mi świadkiem, nie wiem, co ten biedny Jack w niej widział! Prawda, była piękna. Ale, jak mawiała moja babcia, nie to złoto, co się świeci. Jedno jest pewne: już jako żona Jacka miała jeden romans za drugim. Pewnie trwałoby to dalej, gdyby Jack któregoś dnia nie zmądrzał. Nie wiem, czy to on wniósł sprawę o rozwód, bo nigdy o tym nie rozmawiaUśmy, ale dobrze się stało, że nie są już razem. Briony to był jeden wielki kłopot, i to przez duże K. Szkoda tylko, że Jack...

Alison urwała, oczy zrobiły jej się okrągłe, na twarzy

pojawiła się panika. Meg nie musiała pytać, co się stało. Nie musiała się nawet odwracać. Miała wrażenie, że skóra na ramionach pali ją żywym ogniem.

- Mogę wtrącić swoje trzy grosze? - Ton był tak lodowaty, że po krzyżu przebiegły jej ciarki. - A może wolicie rozmawiać o moich prywatnych sprawach beze mnie? - Tym razem miejsce chłodu zajęła źle maskowana złość.

Meg wyczuła w słowach Jacka ból i cierpienie. Gdyby tylko mogła, objęłaby go z całej siły, tak bardzo mu współczuła. Stał pomiędzy nimi w mdłym świetle lampy i mierzył ich pochmurnym wzrokiem. Popatrzył na nią z takim wyrzutem, że ledwie mogła to znieść.

- Skoro jesteś taka ciekawa, chętnie udzielę ci informacji z pierwszej ręki. - Zamilkł na moment, by zebrać myśli. Nagle przyszło jej do głowy, że skoro tak bardzo cierpi, to widocznie wciąż kocha była żonę. - No więc, moi mili, macie rację - powiedział obojętnie. - W ciągu dwóch lat małżeństwa moja żona miała wielu kochanków, choć na pewno nie tylu, o ilu podejrzewają ją moi... przyjaciele.

- Jack, posłuchaj, głupio wyszło... - jękał się Guy, wyraźnie udreńczony całą sytuacją.

Jednak Jack nie zamierzał słuchać.

- Początkowo udawałem, że tego nie widzę - ciągnął, ignorując kolegę - ale Briony czuła się tym rozczarowana. Ona musi ciągle przeżywać dramaty. Czuje, że żyje i wręcz rozkwita, kiedy wybuchają awantury, leją się łzy, padają gorzkie słowa. A po tym wszystkim przychodzi słodka chwila pojednania. Chyba wiecie, o co chodzi? - Spojrzał na nich, szukając zrozumienia, ale nikt nie odważył się odezwać. - W którymś momencie oboje mieliśmy dość ciągłego odgrywania tych samych ról, więc postanowiliśmy z tym skończyć. Oczywiście można analizować, dlaczego nam nie

wyszło. Czy to ja byłem winny, bo za bardzo pochłaniała mnie praca? Czy może Briony, z jej chorobliwą potrzebą ciągłego zwracania na siebie uwagi? Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Nie chciałbym was zanudzać, więc poprzestańmy na tym, że moje małżeństwo było dla mnie cenną lekcją

- zakończył spokojnie i popatrzył na nich z uśmiechem, w którym nie było ironii ani złośliwości. Alison miała purpurowe policzki i nietęgą minę. Korzystając z pierwszej okazji, bąknęła coś o zmęczeniu, po czym uciekła do wagonu, ciągnąc za sobą Guya. Meg również czuła się okropnie. Było jej strasznie wstyd, że ośmieliła się włączyć z butami w jego życie.

- Proszę cię, nie miej pretensji do Alison. - Głos jej drżał, bo niełatwo było przyznać się do winy. - To... ja zapytałam, dlaczego rozpadło się twoje małżeństwo.

- Czuję się zaszczycony. Naprawdę nie sądziłem, że zainteresuje cię moje życie uczuciowe. Gdybyś jednak chciała wiedzieć coś więcej, pytaj. Chętnie odpowiem.

- Posłuchaj, wiem, że nie powinnam była wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Jest mi okropnie głupio. Bardzo cię przepraszam.

- I myślisz, że to załatwi sprawę? - W wyrazie jego oczu było coś, co sprawiło, że poczuła się nieswojo.

- Ja wiem, że przeprosiny nie wystarczą - dodała szybko

- ale co więcej mogę zrobić?

Pytanie zawisło w próżni. Słyszała, jak w środku koledzy rozchodzą się do swych przedziałów. Po chwili w wagonie zgasło światło. W półmroku nieruchoma twarz Jacka wyglądała jak kamienna maska. Chwilę patrzył na Meg chłodnym wzrokiem, po czym nagle przysunął się tak blisko, że prawie się dotykali.

- Ja natomiast wiem, że piękne kobiety znają sposoby zadośćuczynienia za swoje błędy. Briony znała ich tysiące.

- Ja nie jestem Briony! - zaprotestowała, ale jej nie słuchał. Stał przed nią, ani smutny, ani zły, po prostu całkowicie obojętny. Kiedy spokojnie wyciągnął rękę i położył dłoń na jej karku, sprawiał wrażenie człowieka odartego z wszelkich emocji. Nie broniła się. Widok tego niezwykłego mężczyzny, tak bardzo wypalonego, wyniszczonego przez złe doświadczenia, był bardzo bolesny. Czowała się tak, jakby jego wewnętrzny smutek przepłynął do jej serca.

To był najgorszy pocałunek, jaki mogła sobie wyobrazić. Bez namiętności, bez pasji, lub choćby gniewu czy pogardy. Niby wszystko było jak trzeba, lecz odniosła wrażenie, że całuje ją cyborg. Pod zaciśniętymi powiekami poczuła igielki łez. Nie chciała i nie mogła się rozplakać, ale musiała jakoś rozładować napięcie, które w niej narastało.

Jack przestał ją całować i chciał się odsunąć, lecz nie pozwoliła mu. Mocno objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie i pocałowała tak namiętnie, jakby chciała tchnąć w niego wszystkie uczucia, które w niej żyły. Nie obchodziło jej, co sobie o niej pomyśli. Ważne, żeby w ogóle pomyślał. Jeśli nie ma w nim nic prócz pustki, ona odda mu część siebie, ogrzeje go, rozpali. Próbował coś powiedzieć, ale go uciszyła. Przytuliła się do niego całym ciałem, objęła go jeszcze mocniej, gładziła po karku. Nie czekała długo na reakcję. Musiało go to zszokować, bo przez chwilę wyraźnie nie wiedział, co ma robić. W końcu odepchnął ją od siebie i klnąc pod nosem, złapał się za głowę.

- Co ty u diabła wyprawiasz?

Pytanie bardziej pasowało do nastoletniej dziewczicy niż do przystojnego mężczyzny, więc z trudem pohamowała śmiech.

- Chciałam zobaczyć, czy jesteś człowiekiem.

- Zobaczyłaś. I co dalej? Wprawdzie nie interesuje mnie stały związek, ale jestem otwarty na inne propozycje.

- Ale ja nie! - odparła, mężnie wytrzymując jego wyczekujące spojrzenie.
- W takim razie radziłbym najpierw dwa razy pomyśleć, nim zrobisz coś, co może wpędzić cię w tarapaty. Zastanowiłaś się, co zrobisz, jeśli nie trafisz na dżentelmena?
- Może ja wcale nie szukam dżentelmenów. Popatrzył na nią z wyraźnym wahaniem. W końcu dał za

wygraną i odszedł. Nie miała wątpliwości, że ostatnia uwaga będzie ją drogo kosztowała. Na wszelki wypadek odliczyła do dziesięciu i dopiero potem poszła do swojego przedziału. Od razu wśliznęła się do śpiwora, ale nie mogła zasnąć. W sumie mogła być z siebie zadowolona, bo dopięła swego. Był na nią wściekły, ale wołała to od obojętności. Jutro na pewno urządzi jej piekło. A niech tam! Pokrzepiona tą myślą, zasnęła.

Piekło było niczym w porównaniu z tym, co przeżyła. Jack postarał się, żeby nie miała chwili wytchnienia. Ganiał ją od samego rana, czepiał się, ciągle wynajdując błędy i uchybienia, które rzekomo popełniała. Obarczał ją winą dosłownie za wszystko, łącznie z plagami, gradobicie i chorobami dziesiątkującymi ludzkość od zarania dziejów.

- Długo jeszcze mam czekać na ten skalpel? Ruszaj się, kobieto!
- Tak jest! - Energicznie położyła narzędzie na jego wyciągniętej dłoni.
- Próbuje pani być dowcipna, siostró Andrews?
- Ależ skąd, doktorze! - Zerknęła w stronę Rory'ego i wymownie przeciągnęła ręką po szyi. Pech chciał, że Jack dostrzegł ten gest.
- Zwracam wam uwagę, że to sala operacyjna, a nie przedszkole. Proszę o tym nie zapominać. Pan również, doktorze O'Donnell.

- Tak jest!

Operacja przebiegła bez komplikacji, co ucieszyło Jacka. Wprawnie założył szwy na powiece pacjenta, a Meg zabezpieczyła je opatrunkiem. Następnie zaczęła zbierać narzędzia.

- Cholera jasna! - wyrwało jej się, kiedy nerka wypadła jej z rąk i z metalicznym brzękiem potoczyła się po podłodze.

- Co to za zachowanie, siostró! Proszę się kontrolować - skarcił ją. - Czy mi się zdaje, czy nie może pani skupić się dziś na pracy? Albo weźmie się pani w garść, albo niech pani poprosi Lesly, żeby panią zastąpiła.

Z trudem przełknęła tę uwagę i szybko pozbierała z podłogi narzędzia, które i tak miały iść do sterylizacji. On jednak nie czuł się usatysfakcjonowany, bo na odchodnym mruknął:

- Chyba nie muszę przypominać, że w tym zespole nie ma miejsca dla osób, które nie potrafią dobrze pracować.

No, pięknie! - pomyślała. Tego tylko brakowało, żeby odesłał ją do Anglii! I za co? Za to, że ośmieliła się udowodnić mu, że wbrew temu, co próbuje pokazać, nadal jest spragnionym uczucia człowiekiem?

W mgnieniu oka uporządkowała salę operacyjną, tak by była gotowa do następnego zabiegu.

Wiedziała, że Jack nie miał teraz operacji, ale w jego przypadku wszystko było możliwe. Kiedy przebierała się w małej szatni, mimo woli pomyślała o tym, co zdarzyło się wczoraj. Zdawało jej się, że znowu czuje jego pocałunki, początkowo beznamietne, za to później...

- Będzie tu pani sterczała przez resztę dnia i podziwiała swoje odbicie? Wyjeżdżamy za pół godziny, więc proszę szybko coś zjeść. W przeciwnym razie pojedzie pani głodna, bo nie zamierzam czekać!

- Jego głos zabrzmiał tak złowrogo, że aż drgnęła przestraszona.

Kiedy się odwróciła, Jacka już nie było. Dopiero teraz spojrzała w lustro nad umywalką. W oczach miała lęk. Zeszłej nocy postanowiła obudzić w nim jakieś uczucia. Najgorsze, że nie pomyślała przedtem o sobie.

Zjadła szybki lunch w towarzystwie Lesly i Rory'ego. Siedzieli już przy herbacie, kiedy Lesly westchnęła głośno i oznajmiła, że jest za stara na takie wyjazdy.

- E tam! - Rory machnął ręką. - Wtedy mówiłaś to samo.

- Wiem, wiem. Zawsze tak mówię. A potem wracam do domu i nim miną dwa tygodnie, mam po dziurki w nosie całej tej cywilizacji. Widocznie jestem stuknięta.

- Nie mów tak - roześmiała się Meg. - To normalne, że człowiek przeżywa chwile zwątpienia.

- Oho! - Lesly puściła okę do Rory'ego. - Coś mi się zdaje, że nasza debutantka zaczyna mieć dość.

Pewnie żałujesz, że tu jesteś, co? - W jej żartobliwym tonie brzmiała nutka niepokoju.

- Wcale nie! Jestem bardzo zadowolona.

- Masochistka jakaś czy co? - Rory wzruszył ramionami. - Ty mi lepiej powiedz, złotko, co dziś ugryzło naszego szefa. Czepiał się ciebie, aż żal było patrzeć. Przestaliście się lubić?

- Nie, bo nigdy nie zaczęliśmy.

- Naprawdę? - zainteresowała się Lesly. - A mnie się zdawało, że ostatnio było między wami jakby lepiej. Widzę przecież, że Jack lubi z tobą pracować.

- Czy ja wiem... - odparła wymijająco. - A skoro o pracy mowa, to lepiej pójde się dowiedzieć, co zaplanował na popołudnie.

- To nie wiesz? - zdziwiła się Lesly. - Może Jack celowo nic ci nie powiedział, bo bał się, że stchórzysz.

- Co masz na myśli?

- Podróż, w którą się wybieracie. Niemożliwe, żeby nic o tym nie wspomniał!
- A jednak! - Meg uśmiechnęła się z przymusem. - Lesly, nie męcz mnie dłużej. O co chodzi?
- Macie jechać do wioski oddalonej o parędziesiąt kilometrów. Podobno ludzie masowo chorują tam na jaglicę i Jack chce zobaczyć, na ile jest to poważne. Na pewno nic ci nie mówił?
- Przecież bym nie kłamała!
- Wiem. Tylko że wczoraj wieczorem specjalnie wyszedł za tobą, żeby ci o tym powiedzieć. Widocznie musiał zapomnieć, ale to do niego zupełnie niepodobne.
- A, już wiem... - Meg uśmiechnęła się zagadkowo. - Po prostu coś nam... przeszkodziło.
- Zdarza się. W każdym razie nie masz się co martwić - pocieszyła ją Lesly. - Przeżyjesz jakoś tę jedną noc.
- Co? Chcesz powiedzieć, że nie wrócimy tu na noc?
- Nie wrócimy - potwierdził niespodziewanie Jack, stając swoim zwyczajem tuż za jej plecami. - Na pewno dziś tam zanocujemy i niewykluczone, że zostaniemy dłużej. Czy to stwarza jakiś problem? Jeszcze jaki! Ty jesteś moim wielkim, chodzącym problemem, pomyślała złośliwie, głośno zaś odparła:
 - Możemy jechać choćby zaraz. Skwitował tę deklarację chłodnym uśmiechem.
 - Spotykamy się za pięć minut przy samochodzie. Zamiast natychmiast gnać do siebie po rzeczy, dłuższą chwilę stała nieruchomo. Myśl, że będzie musiała spędzić z nim całą dobę, dosłownie ją sparaliżowała. Jak ona to wytrzyma?
- Ocknęła się chyba po minucie. Widząc, jak mało czasu jej zostało, błyskawicznie pobiegła do przedziału i wrzuciła do

plecaka parę niezbędnych rzeczy. Gdy Jack podjechał land-roverem, już na niego czekała.

Energicznie otworzył drzwi po stronie pasażera i zawołał:

- Wskakuj. Szkoda czasu!

Nim zdążyła zapiąć pasy, samochód ruszył z miejsca z piskiem opon. Wjechali na zbocze z pełną prędkością, po czym rozpoczęli równie szalony zjazd.

- W porządku? - zawołał, przekrzykując ryk silnika.

- Tak! - skłamała. Miała duszę na ramieniu, ale nawet nie zamknęła oczu. Po co miał się cieszyć, że jego rajdowe popisy robią na niej wrażenie?

Drogę do wioski pokonali w rekordowym tempie i absolutnym milczeniu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Słońce wsiało już nisko nad horyzontem, ale upał nie zelżał ani trochę. Wykończeni podróżą i kilkugodzinną pracą, ciężko opadli na grubą kłodę zwalonego drzewa.

- To mówisz, że naliczyłaś aż szesnaście przypadków jaglicy?
- Piętnaście, co do których nie ma wątpliwości. - Meg zerknęła na listę. - Do tego kilkanaście osób we wczesnym stadium choroby.
- W sumie jedna trzecia mieszkańców. Jasna cholera! Nie sądziłem, że będzie tak źle.
- Można im jakoś pomóc?
- Czy ja wiem? Dopóki nie poprawią się warunki sanitarne, a na to nie ma co liczyć, bo jest susza, chyba niewiele można zrobić.

Przygnębieni, siedzieli w milczeniu. Meg nigdy dotąd nie zetknęła się z takim ubóstwem i głodem.

- A co na to Richard? - zapytała w końcu. - Zdaje sobie sprawę, co tu się dzieje?
- Oczywiście.
- Ico?
- Działa. Są już pierwsze efekty. Podobno niedaleko stąd znaleziono wodę. Richard zdołał nakłonić jakąś międzynarodową organizację, żeby pomogła wywiercić studnię.
- Świetnie!
- Niby tak - odparł chłodno. - Tylko że jeśli nie uda nam

się namówić tych ludzi do przestrzegania choćby podstawowych zasad higieny, sama woda niewiele pomoże.

Spojrzała na niego z ukosa. No nie, tylko nie to! - pomyślała z goryczą. Znowu odnosi się do niej z rezerwą. Nie rozumiała, jak mógł to robić po tym, co się między nimi wydarzyło. Żadne z nich nie miało dość odwagi, by o tym porozmawiać. Zachowywali się, jakby mieli po piętnaście lat. Gdy byli razem, albo się kłócili, albo dyskutowali o problemach świata, udając, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Zła na niego i na siebie, energicznie wstała z miejsca.

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem okropnie głodna.
- Pomogę ci uruchomić kuchenkę, bo ostatnio szwankuje.
- Nie rób sobie kłopotu.
- Jak chcesz.

Nim zdążył zrobić krok, już żałowała, że tak pochopnie odrzuciła jego pomoc. Jak niepyszna poszła do samochodu i zaczęła grzebać w bagażniku. Przerzucając paczki, myślała o tym, że ich wzajemne relacje stają się coraz gorsze.

Kuchenka rzeczywiście była bardzo oporna. Po kilku nieudanych próbach Meg z wściekłością odrzuciła posklejane pasma włosów i wtedy dostrzegła Jacka. Oparty o drzewo obserwował jej wysiłki.

- Jeśli za chwilę powiesz: a nie mówiłem, to przysięgam, że zrobię coś strasznego - syknęła ostrzegawczo.
- Czy ja wyglądam na kogoś takiego?
- Wyglądasz na takiego, co nie dość, że tak powie, to jeszcze ma z tego radość. A do diabła z tym! - Zła jak osa cisnęła o ziemię pudełko zapalek. - Już mi się odechciało jeść!

Sama nie wiedziała, co ją tak rozzłościło. Może nadmiar wrażeń i zmęczenie po długim dniu. Wiedziała tylko, że jeśli zaraz nie zostanie sama, zrobi mu scenę, której będzie potem

żałować. Bez zastanowienia ruszyła przed siebie, trzymając się ścieżki, która wiała się pośród skąpych zarośli. Szła dość szybko, zdecydowana wypocić z siebie negatywne emocje. Nie bała się, że się zgubi, nie obawiała się dzikich zwierząt ani innych niebezpieczeństw. Jedynym zagrożeniem, wobec którego czuła się całkowicie bezsilna, był Jack.

Po kwadransie postanowiła zawrócić. Purpurowa tarcza słońca ledwie prześwitywała poprzez korony drzew i wszystko wokół miało cudowny, złotobrazowy odcień. Patrząc na dziką przyrodę, nie mogła powstrzymać się od refleksji, że ten piękny kawałek ziemi jest wyjątkowo surowy dla swych mieszkańców. Mimo to do końca życia będzie wdzięczna losowi, że pozwolił jej tu przyjechać. Dzięki temu zyskała nową perspektywę, zrozumiała, jak wiele dostała od życia. Gdyby tylko Jack potrafił ją pokochać, nie chciałaby niczego więcej.

Nawet o tym nie myśl, zganiała się w duchu. Odwróciła się tyłem do niknącego słońca i szybko poszła w stronę wioski. Zaczynała się trochę obawiać, że zaskoczy ją zmrok, więc przyspieszyła kroku. Nagle gdzieś z boku usłyszała cichy jęk. Nie zatrzymała się, pewna, że jej się zdawało. Jednak po chwili dziwny odgłos się powtórzył. Tym razem zabrzmiał jak płacz dziecka.

Zastygła w bezruchu, ale nie usłyszała niczego poza szelestem suchych traw. Już miała pójść dalej, gdy po jej lewej stronie znowu coś zajęczało. Ostrożnie zeszła ze ścieżki i niepewnie zrobiła kilka kroków w dół zbocza. Wiedziała, że stąpa po bardzo zdradzieckim gruncie. Mimo to wytrwale posuwała się naprzód, wypatrując oczy w szybko zapadającym mroku. Nagle, za postrzępionym gładem, dostrzegła kawałek niebieskiego materiału. Jednocześnie powiew wiatru przyniósł odrażający zapach rozkładającego się ciała.

Z chusteczką przy ustach ostrożnie zbliżyła się do miejsca, gdzie pośród traw leżało ciało starszej kobiety. Nie mogła już w niczym pomóc, więc chciała pójść dalej, gdy naraz spostrzegła czerwone zawiniątko. Pośród odłamków skał leżała mała dziewczynka, bardzo już słaba, wycieńczona z głodu i upływu krwi. Na jej nóżce widać było głęboką ranę, na której zerowało stado much. Meg błyskawicznie znalazła się przy dziecku. Wprawnie odnalazła puls i przeraziła się, jak bardzo był nikły.

- Meg! Meg! Odezwij się! Meg!

Nie mógł wybrać bardziej odpowiedniego momentu, żeby zacząć jej szukać.

- Jestem tutaj, Jack! Błagam, pospiesz się!

Stał obok niej, nim zdążyła unieść głowę. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację, po czym zasypał ją pytaniami:

- Żyje? Mówiła coś?

- Żyje, ale jest skrajnie wyczerpana.

- Dobra, musimy natychmiast zanieść ją do wioski.

Nie tracąc ani chwili, przeskoczył ciało kobiety i delikatnie podniósł z ziemi dziewczynkę. Jęknęła cichutko, gdy jej bezwładna główka oparła się o jego ramię. Widać było, że ucieka z niej życie.

Biegli do wioski, uzgadniając po drodze, co muszą zrobić.

- Antybiotyk i sól fizjologiczna - mówił Jack rwącym głosem.

- Jasne. Wiesz, gdzie jest kroplówka?

- Zapakowałem ją razem ze strzykawkami.

Wpadli między chaty, gdzie mieszkańcy gromadzili się przy wieczornym posiłku. Nagłe pojawienie się dwojga białych lekarzy z rannym dzieckiem wywołało wielkie poruszenie. Szybko podrywali się od palenisk i biegli zobaczyć, co się stało.

- Cholera, musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym ją spokojnie zbadać - mruknął Jack, przepychając się przez tłum gapiów.

- Zaczekaj chwilę...

Rozejrzała się dokoła. Kiedy wypatrzyła wodza przyglądającego się im badawczo z progu własnej chaty, podbiegła do niego i na migi próbowała wytłumaczyć, o co chodzi. On zaś patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, zupełnie jakby nie rozumiał jej intencji. Jednak po chwili skinął głową i wskazał sękatym palcem jeden z szałasów.

- W porządku. Możemy ją tam zanieść - zawołała.

- Świetna robota, Meg. Dzięki.

Więc jednak! Na jej ustach pojawił się leciutki uśmiech. Kiedy wróciła z torbą potrzebnych rzeczy, Jack właśnie kończył pierwsze, pobieżne badanie.

- Jak najszybciej podłącz ją do kroplówki - nakazał. - Jest bardzo odwodniona. Damy jej jednocześnie antybiotyk, ale powiem ci szczerze, że kiepsko to wygląda.

- Nie mów tak! - zawołała. - Uda się, zobaczysz! Odsunął się, robiąc jej miejsce. Natychmiast wzięła się do

przygotowywania kroplówki, a gdy wszystko było gotowe, pochyliła się nad dziewczynką. Jedno spojrzenie na zranioną nogę wystarczyło, żeby zrobiło jej się słabo. W otwartej ranie roiły się białe larwy much.

- Jezu! - krzyknęła, odruchowo łapiąc się za usta.

- Wiem, wygląda strasznie. - Podtrzymał ją za ramię. - Ale to nic złego. Te larwy uratowały jej życie. Gdyby nie one, dawno już wdałoby się zakażenie. Zresztą sama się przekonasz, jak oczyścimy ranę.

W milczeniu potrząsnęła głową. Trzęsa się z obrzydzenia i gdyby nie jego uspokajający dotyk, nie wiadomo, czym by się to skończyło.

- Staraj się nie patrzeć na ranę i jak najszybciej podłącz kroplówkę - powiedział łagodnie.

Z trudem odnalazła dobrą żyłę, ale na szczęście udało jej się wkłuć już za pierwszym razem. Przez chwilę patrzyła na sączące się krople. Jedna, dwie, trzy, liczyła w myślach, modląc się, by dali radę uratować to biedne dziecko.

Nadeszła chwila, której obawiała się najbardziej - trzeba było oczyścić ranę.

- Coś mnie tknęło i w ostatniej chwili wrzuciłem do torby eter - powiedział, sięgając po zwitek gazy.

Nasączył go, a potem przysunął do rany. Larwy natychmiast zwinęły się w kulki, a potem znieruchomiały, więc bez problemów dało się je usunąć.

- Nie podchodź, sam to zrobię - oznajmił, gdy chciała mu pomóc. - Nikt nie poradzi sobie z nimi lepiej niż ja, stary wędkarz - dorzucił niemal wesoło.

Wzruszyło ją, że chciał jej oszczędzić przykrego widoku.

- A teraz zobacz, co miałem na myśli, mówiąc, że larwy ocaliły jej życie - powiedział, kiedy skończył przemywać ranę.

Ostrożnie zerknęła ponad jego pochyloną głowę, po czym śmiało podeszła bliżej.

- Rzeczywiście, ani śladu infekcji - przyznała zdumiona. - Jak to możliwe?

- Po prostu larwy wyjadły obumarłe tkanki.

- Jednym słowem szczęście w nieszczęściu.

- Mniej więcej. Tyle że o szczęściu będziemy mogli mówić wtedy, kiedy mała z tego wyjdzie. A rokowania są marne.

- Nic dziwnego, przy takim odwodnieniu. Ciekawe, jak długo tam leżała... - Delikatnie dotknęła Czoła dziewczynki.

- Pewnie kilka dni - odparł, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Wyobrażasz sobie, co to dziecko musiało przeżyć?

- Wolę nawet o tym nie myśleć.
- Jeśli w ogóle przeżyje, będzie wymagała stałej opieki.
- Wiem - odparła, wzruszywszy ramionami.
- I jak to sobie wyobrażasz?
- Zabierzemy ją ze sobą, a na miejscu mogę spać razem z nią w części szpitalnej. W ciągu dnia będziemy się zmieniać z dziewczynami.
- Zdajesz sobie sprawę, ile obowiązków ci przybędzie?
- Nie szkodzi.
- Skoro jesteś pewna, że tego chcesz, postaram się przygotować transport - rzekł zamyślony. - Pójdę porozmawiać z ludźmi. Może się dowiem, kim jest ta mała i co mogło się stać. Tak czy owak, żeby ją leczyć, musimy mieć zgodę rodziców.

Meg siedziała na skrzynce z lekami i wsłuchiwała się w głośnie cykanie świerszczy. Jej mała pacjentka spała, od czasu do czasu wzdychając i pojękując z bólu. Wiadomo już było, że nie pochodzi z tej wioski. Nikt jej tu nie znał i nie miał pojęcia, skąd mogła przyjść. Najważniejsze, że jej stan trochę się poprawił, mogli więc mieć nadzieję, że przeżyje noc. Póki co, wciąż balansowała na granicy życia i śmierci.

Duszny upał okropnie dawał się we znaki nawet w środku nocy. Była już bardzo zmęczona, więc kiedy na moment przymknęła ciężkie powieki, nie miała już siły ich otworzyć. Byłaby pewnie zasnęła, gdyby nie nagły niepokój. Czuła, że ktoś się jej przygląda. Kiedy w ciemnej sylwetce rozpoznała Jacka, uśmiechnęła się lekko i szepnęła:

- Ja wcale nie śpię. Po prostu pieką mnie oczy.
- Dobra, dobra. Nie opowiadajcie mi tu bajek, siostró Andrews - powiedział wesołym tonem. Przyciągnął kawałek drewna i usiadł obok niej. - Jestem skonany - przyznał.

- Ja też. Ale nie chciałam przyznać się pierwsza.

- Daj spokój - zachnął się. - Nie ma sensu udawać, że nie jest się zmęczonym. Praca w tym upale wykończyłaby największego twardziela. Musisz o siebie dbać - zauważył, obracając się do niej. - Dobrze wiem, jak łatwo się zapomnieć i przeholować. Pamiętasz, żeby dużo pić? Uważasz, żeby się nie skaleczyć? Łykasz tabletki przeciw malarii?

- Tak jest, panie doktorze. Jeszcze trochę tej wyliczanki i tak mnie zestresujesz, że będę się bała ruszyć palcem! Ale bądź spokojny. Na pewno nie będę nadprogramową pacjentką.

- Cieszę się, choć nie chodzi mi o dodatkową pracę. Po prostu nie chciałbym, żeby... coś ci się stało. Ostatnie słowa mruknął niby to niedbale, ale i tak zrobiło jej się ciepło na sercu. Czekwała, co będzie dalej. Kiedy delikatnie wziął ją za rękę, drgnęła, ale nie protestowała, gdy przyciągnął ją do siebie. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego usta i oczy, których wyrazu nie potrafiła odgadnąć.

- Co ty robisz? - spytała mimo woli.

- A jak myślisz? - Jego ciepły oddech przyjemnie pieścił jej skórę.

- Ja... nie wiem, czy to jest dobry pomysł? - szepnęła, nagle onieśmielona, choć w głębi duszy wprost umierała z pragnienia, żeby ją wreszcie pocałował.

Chyba czytał w jej myślach, bo lekko dotknął wargami jej ust. Właściwie nie był to prawdziwy pocałunek, a tylko jego zapowiedź, ale już to wystarczyło, by zaszumiało jej w głowie. Jego oczy wyraźnie mówiły, że miał ochotę na więcej.

- Ja też nie wiem, czy pomysł jest dobry, ale dlaczego nie mielibyśmy spróbować? W końcu lubisz ryzyko, prawda?

Zagryzła wargi. Skoro sam nie wie, czy ma ochotę ją pocałować, dlaczego miałyby mu na to pozwolić?

- Co się stało? - zapytał. - Czyżbyś nagle doszła do wniosku, że bawisz się zbyt niebezpiecznie? A może boisz się, że rano będziesz żałować? Ej, to do ciebie niepodobne.
- Skąd wiesz?
- Zeszłej nocy zachowywałaś się tak, jakbyś nie bała się niczego.
- To było wczoraj. A dzisiaj jest inaczej.
- Inaczej? Prawda, że wczoraj ty mnie pocałowałaś. To taka wielka różnica, kto całuje pierwszy? W końcu liczy się efekt. Czy nie mam racji? - ciągnął wesoło. W ogóle sprawiał wrażenie odprężonego i zadowolonego z życia. Nigdy dotąd nie widziała go w tak pogodnym nastroju.
- Owszem, pocałowałam cię - przyznała, patrząc na niego z powagą - ale zaraz tego pożałowałam. Miałam dobre intencje, które źle odczytałeś.
- Jakie znowu dobre intencje? - Wyraz spokoju zniknął z jego twarzy. - Myślałem, że umierałaś z pożądaniami, a ty mi tu wyjeżdżasz z dobrymi intencjami? - zażartował, ale pogodny nastrój znikł. Chciało jej się śmiać z tej typowo męskiej reakcji. W jego ramionach powinna mdleć z rozkoszy, a nie poddawać go terapii szokowej.
- Można wiedzieć, o co chodzi z tymi intencjami? - nalegał.
- Widzisz, że mnie już taka dobra dusza, że zawsze staram się wszystkim pomóc. Chciałam, żebyś się otrząsnął z tej swojej znieczulicy.
- Znieczulicy? - burknął opryskliwie. Widać było, że poczuł się zagrożony. Mimo to nie zamierzała się wycofać. W końcu od dawna czekała na okazję do poważnej rozmowy.
- Zamknąłeś się w sobie - zaczęła ostrożnie, nie chcąc go spłoszyć. - Zupełnie niepotrzebnie odmawiasz sobie prawa

do odczuwania emocji. Zachowujesz się tak, jakbyś żył w obleżonej twierdzy. Kto nie zapuka, ten wróg. Tak nie można, Jack! - mówiła, biorąc go za rękę. - Musisz znowu zacząć czuć. W przeciwnym razie nie będziesz żył naprawdę!

Zareagował na jej słowa krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

- Ja już się w życiu naodczuwałem - powiedział głucho. - Kiedy byłem z Briony, poznałem smak wszystkich uczuć. I wystarczy. Nie mam zwyczaju powtarzać tych samych błędów - rzucił, a potem wstał i chciał odejść, ale zastąpiła mu drogę.

- Tak postępują tylko tchórze! - zawołała.

- I co z tego? Przynajmniej mogę skoncentrować się na tym, co naprawdę ważne. Miłość potrafi mocno dać człowiekowi w kość. Jeśli dotąd nie odczułaś tego na własnej skórze, to masz szczęście. Czasem potrafi tak mocno nadwreżyć siły, że brakuje ich, aby dalej żyć.

Głęboki smutek w jego głosie sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu. Nie miała siły z nimi walczyć, więc popłynęły po policzkach.

- Nie płacz, Meg - rzekł łagodnie. - Nie warto. Było, minęło, nie ma o czym mówić.

Zamiast ją pocieszyć, nieświadomie sprawił, że zaczęła płakać jeszcze bardziej.

- Cicho, nie płacz. Nie bądź dzieckiem - uspokajał, tuląc ją do siebie.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Ujął jej twarz w obie dłonie i wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał zajrzeć na samo dno duszy. Potem pochylił się i pocałował ją tak jak nikt nigdy dotąd. W pocałunku ożyła cała gama uczuć. Była w nim namiętność i nienawiść, pożądanie i złość. Kiedy odsunął ją od siebie, wiedziała, że robi to

niechętnie, ale z rozmysłem. Musnął jej wargi opuszkami palców i pochylił się, by szepnąć jej do ucha:

- Gdybym miał się znowu zakochać, to tylko w kobiecie takiej jak ty.
- Wielkie dzięki - mruknęła. Nie chciała płakać, nie chciała popsuć tej niezwykłej chwili, którą właśnie przeżyła.
- Nie ma za co dziękować - odparł równie lekkim tonem.
- Nie wiem, jak tobie, ale mnie wystarczy wrażeń. Lepiej chodźmy się przespać, bo jutro będziemy nieprzytomni.

W ostatniej chwili powstrzymała jęk zawodu. Tak wiele obiecywała sobie po tym pocałunku, a on jak troskliwy tata wysłał ją do łóżka. Musiała jednak pohamować apetyt na więcej. I tak udało się sprowokować go do wyznania, które musiało go sporo kosztować. Pocieszając się w duchu, że lepsze to niż nic, potulnie skinęła głową:

- Masz rację. Trzeba odpocząć. Do jutra. I słodkich snów
- wyrwało jej się na koniec.

Spojrzał na nią spod oka, zupełnie jakby jeszcze się wahał, czy nie zostać. Ostatecznie życzył jej spokojnej nocy i zamknął się w samochodzie. Postanowiła położyć się w chacie, by być blisko dziewczynki. Wiedziała, że i tak nie zmruży oka. Jak mogłaby spać po tym, co usłyszała. W końcu Jack powiedział jej, że mógłby ją pokochać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dziewczynka miała na imię Katu i pochodziła z sąsiedniej wioski. Po śmierci babci została sierotą. Tak powiedział im Ben Lister, jeden z angielskich wolontariuszy pracujących przy wierceniu studni.

- Z tego, co wiem - opowiadał - babcia wybrała się z Katu do krewnych. Chyba przeczuwała, że jej dni są policzone i próbowała znaleźć dla wnuczki opiekunów. Zdaje się, że nic z tego nie wyszło, W obliczu suszy i głodu nikt nie chce jeszcze jednej buzi do wykarmienia - stwierdził ze smutkiem.

- Przynajmniej nie musimy prosić o zgodę na leczenie - zauważył Jack. - Biedne dziecko. Już na samym starcie los jej nie rozpieszcza.

- Teraz będzie inaczej - pocieszyła się Meg. - Swoją drogą, Katu musi mieć kogoś, kto nad nią czuwa, skoro przetrwała w takich warunkach.

- Jesteś wieczną optymistką. - Jack uśmiechnął się do niej z roztargnieniem. Głębokie cienie pod oczami świadczyły o tym, że miał za sobą ciężką noc.

- Wolę to, niż ciągle widzieć wszystko w czarnych barwach - odpaliła, zastanawiając się w duchu, czy czasem nie zanoszą się na drugą rundę potyczki. Może za każdym razem, kiedy Jack okaże przy niej odrobinę ludzkiej słabości, będzie musiała za to zapłacić? Uśmiechnęła się do niego chłodno i powiedziała, że będzie do dyspozycji za pół godziny.

- Najpierw muszę umyć Katu - zaznaczyła.

Kazał jej się pospieszyć, po czym wyszedł z Benem, by jeszcze raz porozmawiać z mieszkańcami wioski. Przygotowując kąpiel, myślała, że chyba źle robi, starając się do niego zbliżyć. Być może powinno jej wystarczyć, że zdobyła jego uznanie jako szefa. Szukanie większej zażyłość może okazać się ryzykowną grą.

Katu nie spała, ale widać było, że jest bardzo wyczerpana. Wprawdzie bez protestu pozwoliła się umyć, ale jej ogromne oczy nieufnie śledziły każdy ruch Meg. Ciągłe nie wiedzieli, czy dziewczynka mówi i czy rozumie cokolwiek po angielsku. Niektórzy starsi mieszkańcy Onkamby uczyli się języka w szkołach misyjnych. Niestety, za rządów poprzedniego przywódcy większość placówek zamknięto, a liczba obcokrajowców wpuszczanych do państwka została poważnie ograniczona. Odkąd Richard przejął władzę, sytuacja zaczęła się zmieniać na lepsze.

- Teraz zmienię ci opatrunek. Nie bój się, słoneczko, nie będzie bolało - mówiła łagodnie, nie tracąc nadziei, że w końcu doczeka się jakiejś oznaki zrozumienia.

Kiedy usunęła bandaż, z ulgą przekonała się, że rana jest czysta. Jack miał rację, mówiąc, że potrzebny będzie przeszczep skóry. Musieli jednak poczekać z tym, aż mała nabierze sił.

Chcąc jak najszybciej zasłonić ranę, rozerwała opakowanie ze świeżym opatrunkiem. Powleczonej folią papier zaszeleścił w jej dłoniach, i wtedy niespodziewanie Katu wyciągnęła rączkę:

- Chciałabyś to zobaczyć, kochanie? - zapytała i podała dziewczynce opakowanie.

Patrząc, jak mała się nim bawi, nie mogła powstrzymać się od myśli, że ten świat nie jest najlepiej urządzony. Jedne

dzieci mają dużo więcej niż potrzebują, a innym musi wystarczyć kawałek zgniecionego papieru.

- Może się trochę napijesz? - Podsunęła dziewczynce kubek z wodą, a ta posłusznie wypila kilka łyków. Skoro czuła pragnienie, szanse na wyzdrowienie wzrastały. Zadowolona Meg przygotowała specjalny napój o dużej zawartości białka, który miał pomóc w szybszym odzyskaniu sił. Ponieważ usta dziewczynki były bardzo spierzchnięte i popękane, dała jej słomkę. Katu najpierw długo oglądała nieznaną przedmiot, a potem zrobiła sobie z niego nową zabawkę. Meg czule pogłaskała ją po głowie i wyszła poszukać Jacka.

- Jak tam mała? - zapytał na wstępie.

Nie odpowiedziała od razu, bo nagle ogarnęła ją złość. Dlaczego jest taki uparty? Dlaczego musi tak bardzo wszystko komplikować?

- Coś się stało? - zapytał, zaniepokojony jej milczeniem. - Stan się pogorszył, tak? - Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę chaty.

- Stój! Katu ma się dobrze. Nawet dałam jej porcję proteinowej odżywki.

- Wypiła?

- Tak, trochę. Posłuchaj, Jack... - zaczęła, zdecydowana, by raz na zawsze zakończyć te dziecinne dąsy. - Jeśli chodzi o to, co stało się wczoraj, to...

Nie dokończyła, bo nagle usłyszeli zbliżający się warkot silnika. Gdzieś za jej plecami zatrzymał się samochód. W chwili, gdy otworzyły się drzwi kabiny, na twarzy Jacka pojawił się radosny uśmiech.

- Richard! - zwołał i, zostawiwszy Meg, pobiegł przywitać się z wysokim, przystojnym mężczyzną.

Nim przybysz zdążył zrobić krok, otoczyła go grupka uzbrojonych żołnierzy, ale szybko dał im znak, by się odsu-

nęli. Sprężystym krokiem podszedł do Jacka i po przyjacielsku uściskał mu dłoń. Najpierw przez chwilę rozmawiali ze sobą, a potem podeszli do Meg.

- Pozwól, to jest Richard, o którym tyle ci opowiadałem. To dzięki niemu nasza misja mogła dojść do skutku.

- Bez przesady. Ja tylko zwróciłem się z prośbą o pomoc. I pewnie nic by z tego nie było, gdyby nie energia i zaangażowanie Jacka. W końcu to on wszystko zorganizował - odwzajemnił się Richard i z uśmiechem podał jej rękę. - Cieszę się, że mogę cię poznać. Nie wiesz nawet, jak bardzo jestem wdzięczny takim ludziom jak ty.

- Nie ma o czym mówić.

Czuła, że polubiła Richarda od pierwszego spojrzenia. Wysoki, postawny, z lśniąco czarną skórą i pięknym uśmiechem, a do tego ubrany w militarny strój, wyglądał jak urodzony przywódca. Od innych władców różniła go rzadka w ich przypadku chęć, by osobiście wszystkiego doglądać.

Głęboko wierzył w sens bezpośredniego kontaktu w podwładnymi, dlatego, przeprosiwszy ich, podszedł do ciężarówki, bo chciał być przy rozładunku maszyny do wiercenia studni.

Ponieważ Jack nalegał, by bezzwłocznie zacząć przyjmowanie pacjentów, nie miała okazji wrócić do przerwanej rozmowy. Obiecała sobie, że zrobi to, gdy będą mieli chwilę czasu. Teraz czekało ich sporo pracy. Najpierw podzielili chorych na cięższe przypadki, którymi zajął się Jack, oraz tych, którzy zgłosili się z drobnymi problemami. Opatrując skaleczenia i przemywając niegroźne rany, uczyła ich przy okazji podstawowych zasad higieny. Dzięki nieocenionej pomocy Bena, który wystąpił w roli tłumacza, przekonywała do mycia twarzy i rąk, bo tylko w ten sposób mieli szansę przerwać łańcuch wzajemnego zarażania się chorobą.

Następnie Jack zwołał wszystkich w centralnym miejscu wioski i urządził pokaz, jak myć się w sytuacji, gdy woda jest droższa niż złoto. Na sznurku między dwoma tyczkami zawiesił czystą puszkę z nawierconym dnem. Wlał do niej trochę wody, a kiedy przez otwór zaczęły kapać niewielkie krople, chwycił je w dłonie, nie marnując przy tym ani odrobiny.

- Doskonały pomysł - pochwaliła go po prezentacji. - Jak na to wpadłeś?
 - Sam tego nie wymyśliłem. Wyczytałem gdzieś, że taka metoda przyniosła efekty wśród Masajów.
 - Miejmy nadzieję, że tu okaże się równie skuteczna.
 - Oby! Wiesz - dodał po namyśle - tak się czasem zastanawiam, że my tam, w Europie, w ogóle sobie nie zdajemy sprawy, jakim skarbem jest czysta woda.
 - Obiecuję ci, że przypomnę to sobie, zanim zacznę narzekać na deszczowe lato.
 - A widzisz! Ciesz się tym, co masz! - zauważył sentencjonalnie.
 - Ty również.
 - Co masz na myśli?
 - To, że masz wiele powodów, by być wdzięcznym losowi. Po pierwsze, jesteś zdrowy i sprawny, po drugie, masz pracę, która jest twoją pasją. Widzę, że masz przyjaciół, jesteś lubiany, ludzie cię cenią. Czego chcieć więcej? Jak widzisz, same plusy - zakończyła, celowo pomijając największy minus w postaci nieudanego małżeństwa.
 - Dzięki za dobre słowo - odparł z kwaśną miną. - A teraz proponuję, żebyśmy porzucili filozofowanie i pomyśleli o tym, jak przygotować transport Katu. Co ty na to?
- Posłał jej uśmiech, który całkowicie ją rozbroił, i odszedł do swoich spraw.

Przewiezenie dziewczynki na pokład „Anioła” okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali. Stało się tak dzięki Richardowi, który zaproponował, by skorzystali z ciężarówki.

Koledzy z zespołu powitali ich z entuzjazmem, który chyba nie wynikał z tęsknoty, lecz z faktu, że przybyły dwie pary rąk do pracy. Domyślała się, że przez te parę dni załodze musiało być bardzo ciężko. Z tym większą wdzięcznością przyjęła propozycję koleżanek, które bez wahania postanowiły wziąć na siebie część obowiązków związanych z pielęgnowaniem Katu.

Meg opowiedziała im o wszystkim, co wydarzyło się podczas podróży. Mówiąc o Richardzie, wspomniała, że pytał o Yvonne. Wieczorem, kiedy razem z Lesly czekały, aż zwolni się miejsce w miniaturowej łazience, powróciła do tego tematu.

- Nie wiedziałam, że Richard ją zna - powiedziała. - Wiesz coś o tym?

- Niewiele - westchnęła Lesly. - Ale czegoś tam się domyślam. Od razu wydało mi się podejrzane, że Yvonne wycofała się niemal w ostatniej chwili. Myślę, że nie chciała spotkać się z Richardem.

- Tak? A dlaczego?

- Czy ja wiem? Studiowali na tym samym uniwersytecie i podobno byli wtedy bardzo blisko.

- Tak? I myślisz, że Yvonne wycofała się, bo nie chciała się spotkać ze swoim byłym chłopakiem?

- Tak mi się zdaje. Związek nigdy nie jest łatwy, a jeśli jeszcze dochodzi do tego odmienny kolor skóry, to sama rozumiesz. Nawet w dzisiejszych liberalnych czasach musiało być im ciężko - stwierdziła, a słysząc, że zwalnia się kabina prysznicowa, zawołała do Rory'ego, który w z niej wyszedł: - Ten, kto powiedział, że kobiety spędzają w łazience

więcej czasu niż mężczyźni, chyba nigdy nie mieszkał z tobą pod jednym dachem, panie O'Donnell!

- A wy nie wiecie, że jak komuś Bozia nie dała urody, to musi sam o nią zadbać? - odparł. -

Wykażcie choć trochę współczucia dla tak zwanej płci brzydkiej.

- Ty mi tu nie gadaj o współczuciu! - roześmiała się Lesly. - Jeśli wychlapałeś całą gorącą wodę, to ci nie daruję. Jestem pewna, że twój przyjaciel Jack na pewno doceni, że specjalnie dla niego chciałeś zrobić się na bóstwo.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Meg. - Co Jack ma z tym wspólnego?

- Jak to co? - zawołała Lesly, przekrzykując szum wody.

- Dzisiaj ma urodziny i robimy z tej okazji kameralną imprezkę.

- Naprawdę? Nic mi nie mówił - zdziwiła się.

- Widocznie zapomniał. Ten facet myśli tylko o pracy

- westchnęła Lesly. - W każdym razie już wiesz, że będziemy balować, więc włoż na siebie jakiś seksowny ciuch. Tu przynajmniej człowiek może chodzić z gołym brzuchem bez obawy, że go zawieje i pokręci.

- Ale dlaczego Jack nic mi nie powiedział? - Meg nie potrafiła ukryć zawodu.

- Bo pewnie nie chciał - wtrącił Rory, zbierając się do wyjścia. - Gdybym ja kończył trzydzieści siedem lat, to też bym się nie chwalił.

- Ten Rory zawsze ma na wszystko odpowiedź - roześmiała się Meg.

Jednak w duszy czuła narastający niepokój. Fakt, w nawale pracy Jack mógł zapomnieć o swych urodzinach. Może jednak, i to było najgorsze, nie wspomniał o swoim święcie, bo chciał utrzymać większy dystans pomiędzy sobą a nią?

- A więc wnieśmy toast za zdrowie Jacka - zawołał Rory, podrywając się z miejsca. - Aby dalej z sukcesem organizował wycieczki rekreacyjne, w których tak chętnie bierzemy udział!

- Ładna mi rekreacja! - roześmiała się Meg, podnosząc swój kieliszek.

- Prawda, nie są to dwa tygodnie w luksusowym hotelu na Kanarach, ale chyba nie żałujesz? - zapytała Alison.

- Nie, oczywiście, że nie żałuję - odparła z naciskiem, instynktownie spoglądając w stronę Jacka, który siedział na honorowym miejscu u szczytu małego stołu.

Chyba wyczuł, że na niego patrzy, bo odwrócił się w jej stronę. Kiedy ich oczy się spotkały, przez ułamek sekundy miała wrażenie, że nie istnieje nic poza nimi dwójkiem. Nie słyszała rozbawionych głosów, nie widziała roześmianych twarzy. Wpatrzyła się w ciemne oczy, które chciały jej powierzyć swą tajemnicę.

- Hej, co z tobą! - Alison trąciła ją łokciem. - Wpadłaś w trans czy co? - zapytała, a nie doczekawszy się odpowiedzi, podążyła za jej nieprzytomnym spojrzeniem. - A, więc o to chodzi! - szepnęła domyślnie.

Na szczęście Guy zagadnął ją, zanim zaczęła drażnić temat. Meg ocknęła się i zaczerpnąwszy głęboko powietrza, rozejrzała się niczym obudzona ze snu. Widocznie dotarły do niej ostatnie słowa Alison, bo rzekła półgłosem:

- Skoro wiesz, o co chodzi, to mi powiedz, bo ja nie wiem!

Tymczasem Jack dał znak, że chce coś powiedzieć. Wyprostowany, ledwo mieścił się w ciasnym kącie.

- Nie będę was zanudzał przemowami...

- To będziesz pierwszym znanym mi lekarzem, który nie skorzystał z okazji - wpadła mu w słowo Kate.

Meg śmiała się razem z innymi, uważała jednak, by omijać go wzrokiem. Żadnego wymownego patrzenia sobie w oczy, zaklinała się w duchu. Tylko czy te zaklęcia mogą pomóc?

- Dziękuję ci, Kate - ciągnął, gdy ucichły śmiechy. - Tym bardziej będę się streszczał. Jeszcze raz chcę podziękować za pamięć. Kompletnie zapomniałem, że mam dziś urodziny, więc czuję się podwójnie zaskoczony. Po pierwsze, że pamiętaliście. Po drugie, że chcieliście to ze mną uczcić. Wasze zdrowie.

- Wszystkiego najlepszego! - rozległo się ze wszystkich stron.

- Już dziękuję - rzekła Meg, gdy Rory chciał dolać jej szampana. - Jeszcze trochę i przestanę nad sobą panować.

- Dla mnie bomba! - oznajmił, puszczając do niej oko.

Być może powinna poczuć się urażona tym niedwuznacznym żartem, ale na Rory'ego nie sposób było się gniewać. Wszyscy wiedzieli, że nie miał złych intencji. Dlatego poczuła się zaskoczona, kiedy podniósłszy wzrok, dostrzegła, że Jack patrzy na kolegę ze złością. Czyżby był zazdrosny? Wielkie nieba! On naprawdę pomyślał, że Rory ją podrywa. Ta myśl wprawiła ją w stan takiej euforii, że z trudem skupiła się na rozmowie przy stole. Kiedy więc po jakimś czasie zerknęła na zegarek, z ulgą przyjęła fakt, że właśnie zaczyna się jej dyżur przy Katu.

Ponieważ jadalnia była wąska i ciasna, nie można było wydostać się z niej, nie robiąc zamieszania.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - powtarzała, nim udało jej się wreszcie wyjść na korytarz.

Jack siedział tuż przy drzwiach, więc nie mogła go nie minąć. Przechodząc, nie podniosła nawet wzroku, nie czuła się bowiem na siłach znieść jeszcze jednego głębokiego spojrzenia.

Katu była chwilowo jedyną pacjentką ich malutkiego szpitala. Kiedy Meg weszła do przedziału, dziewczynka leżała cichutko jak myszka i wpatrywała się w migające lampki, którymi nafaszerowany był specjalistyczny sprzęt. Widok malutkiego dziecka, samotnego w tym obcym, niezrozumiałym świecie, był tak poruszający, że ścisnęło jej się serce. Kiedy podeszła do łóżka, Katu uśmiechnęła się nieśmiało i spojrzała na nią z bezgraniczną ufnością. Wzruszona Meg przysięgła sobie, iż dołoży starań, by Katu nigdy już nie została sama na świecie.

- Cześć, słoneczko. Jak się czujesz? - zapytała łagodnie, biorąc ją za rękę, by zbadać puls. Z ulgą stwierdziła, że jest dużo silniejszy niż parę godzin wcześniej. Następnie zmierzyła dziewczynce temperaturę. - Brawo! - zawołała. - Już prawie nie masz gorączki. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę!

Starannie zapisała wynik na karcie chorobowej, po czym sprawdziła, czy kroplówka działa jak trzeba. Jeśli poprawa okaże się stała, za dzień lub dwa odstawią kroplówkę. A kiedy rana się zablizni, Katu będzie już całkiem zdrowa. Tylko co się z nią wtedy stanie? - pomyślała, czując w sercu nieznany ciężar. Postanowiła przy najbliższej okazji porozmawiać o tym z Jackiem. Kiedy poprawiała kołdrę i poduszkę, Katu znowu się uśmiechnęła.

- Nie jesteś śpiąca, koteczku? Chcesz, to opowiem ci bajkę.

Było mało prawdopodobne, że dziewczynka ją rozumiała. Nie zrażona tym Meg przysunęła sobie krzesło i wypowiedziała słowa, od których zaczyna się każda bajka:

- Dawno, dawno temu żyła sobie piękna księżniczka, która miała na imię Katu.

Na dźwięk swojego imienia dziewczynka wyraźnie się

ożywiła. Potem ułożyła się wygodniej na poduszce i choć słowa płynęły w nieznanym języku, z uwagą słuchała historii o tym, jak księżniczka spotkała w lesie przystojnego księcia. Meg ani przez moment nie miała wątpliwości, że księżę powinien nazywać się Jack. Gdy po licznych perypetiach zbliżała się do końca opowieści, Katu ziewała szeroko. Gdy zasnęła, Meg wyszeptała ostatnie zdanie, bez którego nie byłoby końca bajki:

- A piękna księżniczka Katu i księżę Jack żyli sobie długo i szczęśliwie...

Miała wyjść, ale zastygła w bezruchu, bo nagle dostrzegła dodatkowego słuchacza, o którego obecności nie miała dotąd pojęcia. Jack stał w drzwiach, niedbale opierając się o futrynę, i patrzył na nią z zagadkowym wyrazem oczu.

- Księżę Jack? - zapytał..

- Co w tym niezwykłego? - Wzruszyła ramionami. - To było pierwsze imię, które przyszło mi na myśl.

- Naprawdę? Jaka szkoda. A już miałem nadzieję, że uznałaś mnie za wzór godny naśladowania.

Tego jeszcze brakowało, pomyślała zirytowana, żeby robił sobie ze mnie żarty. Postanowiła, iż nie da się sprowokować. Gdy jednak chciała przejść obok niego, zastąpił jej drogę.

- Przepraszam, chcę wyjść.

- To ja przepraszam. Gdzie się podziały moje dobre maniery - powiedział, odsuwając się i robiąc jej miejsce. Następnie uklonił się przed nią do samej ziemi i dodał: - Nie takiego zachowania spodziewałaś się po księciu, prawda?

Mocno zacisnęła usta, gdyż bała się, że za chwilę powie coś, czego pożałuje. Wiedziała, że najrozsądniej byłoby podchwycić żartobliwy ton, ale nie potrafiła tego zrobić. Dlatego przeszła obok niego bez słowa. Jack jednak nie dał się zbyć.

- O co ci chodzi? - zapytała zniecierpliwiona, gdy ruszył

za nią. - Czujesz się zaskoczony, że zrobiłam z ciebie księcia z bajki?

- A nie powinienem? - spytał, zagrządzając dostęp do drzwi jej przedziału. - Robisz ze mnie księcia, choć dopiero co posądziłaś mnie o brak ludzkich uczuć.

- Ty to powiedziałaś!

- Czyżby? W każdym razie dochodzę do wniosku, że możesz mieć trochę racji. I powiem ci więcej. Możliwe, że chciałbym to zmienić.

- Możliwe? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Po raz pierwszy udało jej się wyczytać w nich niepewność. Widok był tak poruszający, że natychmiast ogarnęła ją fala ogromnego współczucia. Miała ochotę pocieszyć go, zapewnić, że nie musi się bać, bo nikt go więcej nie zrani. Tylko że nie ona jest osobą, od której oczekiwał takich zapewnień. Osobą tą była tylko jego żona, którą ewidentnie nadal kochał.

- Jeśli pragniesz zmienić swoje życie, musisz być tego w stu procentach pewny. Inaczej się nie da - powiedziała smutno.

- Więc taka jest twoja rada? Najpierw zdecyduj się, czego chcesz, a potem walcz.

- Właśnie.

- Rada może i dobra. Tylko że trudno przewidzieć, jaki będzie ostateczny bilans zysków i strat.

- Tego nikt nie jest w stanie przewidzieć - westchnęła - ale czasem trzeba zaryzykować. Może gdybyś powiedział żonie, jak bardzo cierpisz z powodu waszego rozstania, byłoby jej łatwiej dojść do ładu z własnym życiem. A wtedy znowu moglibyście być razem.

Spojrzał na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

- Briony? - powtórzył wyraźnie zdezorientowany. - A cóż ona może mieć z tym wspólnego? Moja była żona już nie figuruje w tym równaniu z wieloma niewiadomymi - powiedział, po czym roześmiał się i niespodziewanie pocałował ją w czubek nosa. - Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, poszedł w stronę jadalni, w której nadal świętowano jego urodziny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Obydwoje uważnie oglądali ranę, która wprawdzie wyglądała coraz lepiej, ale wciąż stanowiła poważne zagrożenie.

- Sama widzisz, że bez przeszczepu się nie obejdzie - zawyrokował Jack, po czym odsunął się, by mogła założyć świeży opatrunek. Kiedy skończyła, przykrył Katu prześcieradłem i podał jej czerwoną kredkę.

Na jej widok dziewczynka rozpromieniła się i natychmiast wzięła do rysowania, które od paru dni było jej wielką pasją. Mały szpital zaczynał powoli przypominać galerię sztuki, gdyż wszędzie wisiły kolorowe rysunki.

- I co? Chcesz ją operować? - zapytała Meg.

- Nie, w tych warunkach to wykluczone.

- Więc trzeba przewieźć ją do normalnego szpitala. Tylko skąd taki wziąć w Onkambie? - zmartwiła się, zerkając czule na dziewczynkę pochyloną nad kartką papieru.

- Może być z tym kłopot, bo o ile wiem, w lokalnych szpitalach nie ma odpowiedniego sprzętu do takiego zabiegu.

- Więc co zrobimy?

- Wyślemy ją do Anglii.

- Do Anglii?!

- Mhm. Znam chirurga, który jest prawdziwym artystą w zakresie rekonstrukcji ubytków tkanki. Jeszcze dziś postaram się z nim skontaktować.

- Ale jak chcesz poradzić sobie z procedurą emigracyjną i z całą tą biurokracją? - zapytała.

- Spokojna głowa. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Nie ma takiego przepisu, którego nie dałoby się nagiąć. Uwierz mi, wiem, co mówię, bo już nieraz to robiłem.

Rozeźmiała się i pokręciła głową.

- Oby ci się udało - powiedziała ostrożnie.

- Dlaczego miałyby się nie udać? Wystarczy przekonać odpowiednie władze, że po zabiegu dziecko wróci do Afryki.

- W takim razie do dzieła! - Radość rozjaśniła jej spojrzenie. - A koszty? - zaniepokoiła się. - Przecież transport samolotem i sama operacja kosztują fortunę. Obawiam się, że żadne ubezpieczenie tego nie pokryje.

- Co do operacji, to jestem pewien, że mój przyjaciel zgodzi się przeprowadzić ją za darmo. A transport też jakoś załatwimy. Muszę tylko spokojnie wszystko przeanalizować.

Taki jesteś pewny? - pomyślała, patrząc na niego spod oka. Skoro jest mistrzem w załatwianiu beznadziejnych spraw, to może również dla niej znalazłby jakieś cudowne rozwiązanie. Od tego wieczoru, gdy podsłuchał, jak opowiadała bajkę, ani razu nie rozmawiali na żaden osobisty temat. Nie miała więc pewności, czy to, co powiedział o chęci wprowadzenia zmian w swoim życiu, było nadal aktualne. Ona sama przeżywała wyjątkowo męczącą huśtawkę uczuć, balansując pomiędzy euforią a kompletnym zwątpieniem. To cieszyła się, że wreszcie ją zaakceptował, może nawet polubił, to zaczynała się zamartwiać, że on mimo wszystko ciągle kocha byłą żonę, a ją chce potraktować jako środek zastępczy, pewien rodzaj pogotowia seksualnego. Na domiar złego nie umiała jasno określić swoich uczuć. Nic więc dziwnego, że czuła się zagubiona, rozdrażniona i bardzo tym wszystkim zmęczona.

- Boże drogi - westchnęła, zerkając jeszcze raz w stronę Katu, bo właśnie zbierała się do wyjścia. - Po co mi to było!

- szepnęła, idąc do swoich codziennych zajęć w zaimprovizowanej przychodni. Dopóki nie spotkała Jacka Trenta, życie było tak cudownie proste!

Zbliżała się pora lunchu, kiedy Lesly wywołała Jacka z gabinetu, mówiąc, że jest jej bardzo potrzebny.

- Zastąp mnie, Meg - poprosił i już go nie było. Jednym z zadań, które wyznaczyli sobie w czasie pobytu

w Onkambie, było szkolenie wolontariuszy z międzynarodowych organizacji niosących pomoc, tak by mogli skutecznie pracować w terenie. Tego dnia ich pracy przyglądała się młoda Francuzka. Tak się złożyło, że w planach na ten tydzień mieli przebadanie jak największej grupy kobiet. Liczba wykrytych przypadków raka szyjki macicy była wyjątkowo wysoka, chcieli więc jak najszybciej wprowadzić program mający zwiększyć wykrywalność tej choroby.

Ich kolejną pacjentką była trzydziestoletnia kobieta, która mówiła biegle po angielsku; przed zamknięciem szkół misyjnych pracowała w jednej z nich jako nauczycielka tego języka. Meg poprosiła ją, by usiadła na kozetce, po czym wytłumaczyła, na czym będzie polegało badanie.

- To naprawdę nic strasznego, więc proszę się nie bać -uspokajała, widząc, że kobieta jest bardzo spięta. - Ten płyn to wodny roztwór kwasu octowego, czyli, mówiąc po ludzku, rozcieńczony ocet. Kiedy posmaruje się nim tkanę, ta część, która jest zmieniona chorobowo, zbieleje. Badanie jest naprawdę bezbolesne. Proszę się teraz przygotować, dobrze?

Okazało się, że tym razem wszystko jest w porządku.

- Nie widzę tu żadnych niepokojących zmian - oznajmiła Meg, kiedy kobieta z powrotem usiadła przy stole. - Jednak byłoby dobrze, gdyby za jakiś czas test został powtórzony.

- Oczywiście - przytaknęła kobieta. - Na pewno tego nie

zaniedbam - zapewniła, zbierając się do wyjścia. - Moja matka umarła na raka, więc jestem na tym punkcie wyjątkowo wyczulona.

- To dobrze. Życzę zdrowia - rzekła Meg z uśmiechem.

- No tak - zwróciła się do Francuzki. - Ciągłe powtarzamy, że wczesne wykrycie jest jedyną gwarancją skutecznego leczenia, ale mało kto bierze to sobie do serca. Osoby takie jak ta kobieta należą do wyjątków.

- Bo kobietom szkoda czasu, żeby zadbać o siebie, *oui*?

- mruknęła Miriam Dupre. - Tak się o wszystkich troszczą, że zapominają o sobie.

- Właśnie. - Meg pokiwała głową. - Wygląda na to, że same jesteśmy dla siebie najgorszymi wrogami. Ale, ale - zerknęła na zegarek - najwyższa pora coś zjeść. Jeśli masz jakieś pytania, to chętnie na nie odpowiem przy kawie.

- Świetnie. A Jack też będzie? - zainteresowała się Miriam. - Nie to, żebym miała do niego zbyt wiele pytań natury medycznej. Z takim facetem można dużo ciekawiej spędzić czas, jeśli wiesz, co mam na myśli - dodała z tym specyficznym wzruszeniem ramion, jakie mają tylko Francuzi.

- Raczej bym na to nie liczyła - odparła Meg nieco sztywno i wprawdzie usiłowała się uśmiechnąć, ale wyszło to jakoś nieszczерze. Co miała poradzić, że poczuła się tak, jakby ktoś wtargnął na jej terytorium? Wiedziała, że jej reakcja na niewinną uwagę Miriam była trochę nie na miejscu, chcąc więc naprawić błąd, dodała: - Obawiam się, że mamy jakiś problem, więc Jackowi szkoda będzie czasu najedzenie.

Tłumaczenie musiało zabrzmieć mało przekonująco, bo Miriam spojrzała na nią badawczo.

Zaproszenie na lunch jednak przyjęła.

- Dzięki, chętnie coś zjem. I przepraszam za tę głupią

uwagę na temat Jacka. Naprawdę, nie miałam pojęcia, że ty i on... No wiesz.

Nie wiedziała, ale mogła się łatwo domyślić. Uczciwość nakazywała wyprowadzić rywalkę z błędu i przyznać, że nie ma czegoś takiego jak ona i Jack. Z drugiej strony, uczciwość uczciwością, ale w imię czego ma ułatwiać tamtej zadanie? Szybko zwalczyła pokusę, by grać w otwarte karty. Niech sobie ta cała Miriam rozumie sytuację, jak chce. Przecież nie okłamała jej, a jedynie przemilczała pewne rzeczy. W końcu lekkie naginanie faktów to nie taki znowu grzech, pocieszyła się w myślach i trochę nazbyt energicznie rozsunęła drzwi prowadzące do wagonu, w którym mieli jadalnię.

Jack dołączył do nich w chwili, gdy kończyli posiłek. Na jego widok Miriam wyraźnie się ożywiła, jednak on nawet jej nie zauważył. Usiadł ciężko za stołem i popatrzył na kolegów, a widząc ich pytające spojrzenia, powiedział głucho:

- Bill Tranter, nasz główny inżynier i maszynista, jest w szpitalu. Nie będę ukrywał, że jest z nim raczej kiepsko.

- A co mu się stało? - zaniepokoiła się Meg.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Alison ma zrobić ogólne badanie krwi. Może ono coś wykaże.

- Jakie są objawy?

- Gorączka, ciężki, świszczący oddech. Bill mówi, że kompletnie stracił siłę i że bołą go mięśnie.

- Może to malaria? - zastanowiła się głośno.

- Też tak myślałem, ale objawy są jednak trochę inne. Poza tym Bill przysięga, że codziennie łykał tabletki, więc malaria raczej odpada.

- To fatalnie - zmartwiła się. - Oby badanie krwi coś

wykazało. Nie wiem, co z nami będzie, jak Bill rozłoży się na dobre. Kto będzie kierował pociągiem?

- Też się nad tym zastanawiam - westchnął Jack. - Bez Billa utkniemy w miejscu, a wtedy cały sens tej wyprawy diabli wezmą. - Wyraźnie poirytowany, pokręcił głową. - A tak nam dobrze szło!

- Posłuchaj, Jack - wtrąciła się Miriam. - A może udałoby się sprowadzić tu innego mechanika?

- W ostateczności... - Jack uśmiechnął się ciepło do Francuzki. W tej samej chwili Meg poczuła, jak ogarnia ją fala irytacji. Zezłościło ją nie tylko to, że Jack się uśmiechnął, lecz również jej własna reakcja. Nie miała prawa traktować go jak swoją własność, podobnie jak nie powinna była wprowadzać Miriam w błąd. Skoro robi takie dziwne rzeczy, musi z nią być naprawdę kiepsko. Chcąc oderwać się od tych niewygodnych myśli, postanowiła zobaczyć, jak ma się Bill.

Kiedy weszła do środka, Lesly właśnie dawała mu pić. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest poważnie chory. Na widok Meg uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Przepraszam, że się rozłożyłem - powiedział, z trudem chwytnąc oddech. - Tak was wszystkich zawiodłem.

- Daj spokój! - powiedziała z naciskiem. - Nawet tak nie myśl. Pech chciał, że padło na ciebie, bo przecież choroba mogła dopaść każdego - mówiła, przysuwając sobie krzesło. - Biegnij coś zjeść, Lesly. Mam parę minut, więc tu posiedzę.

- Mówię ci, Meg, nawet nie wiesz, jak mi głupio tak tu leżeć beczynn timer - żalił się Bill. - Nie dość, że w takim stanie nie ma ze mnie żadnego pożytku, to jeszcze utkniemy tu nie wiadomo na ile. Ci miejscowi mechanicy nie są jeszcze gotowi do samodzielnego kierowania pociągiem.

- A twój pomocnik nie mógłby ich nadzorować? - zapytała, chcąc go pocieszyć.
- Nie wiem. Może i by mógł - jęknął, niezbyt zachwycony tym pomysłem. Meg widziała, że czuł się bardzo marnie, więc, nie chcąc go męczyć, wróciła do swoich obowiązków w przychodni.
- W gabinecie zastała Jacka i Miriam zajętych badaniem kolejnej pacjentki. Po paru minutach okazało się, że Francuzka niesłychanie absorbuje Jacka, zadając mu setki pytań. Widocznie pozbyła się już wszelkich skrupułów, pomyślała Meg z goryczą. W pewnej chwili poczuła się jak piąte koło u wozu i miała nawet ochotę wyjść. Widocznie niewesoły nastrój odmalował się na jej twarzy, bo kilka razy podchwyciła rozbawione spojrzenie Jacka. I co cię tak cieszy? - zapytała go w myślach. Z każdą chwilą czuła się coraz gorzej, jednak świadomość, że jego bawi jej zazdrość, podziałała na nią jak kubeł zimnej wody. Zebrała się w sobie i do końca dnia myślała tylko i wyłącznie o pracy.
- Nadal nie wiemy nic pewnego. Co prawda nie mamy jeszcze wszystkich wyników, ale już możemy wykluczyć malarię - oznajmiła Alison następnego ranka, wchodząc do gabinetu z pierwszymi wynikami badania krwi.
- Można zerknąć? - Jack wziął od niej wydruk, po czym przysiadł na brzegu kozetki i przeczytał go uważnie. - No tak - westchnął, odkładając kartkę. - Żadnego śladu mikroorganizmów, więc infekcję bakteryjną mamy z głowy.
- W takim razie jakiś nieznany wirus? - podsunęła Meg.
- Możliwe - zgodził się, ale zaraz dodał, że nie powinni wyciągać zbyt pochopnych wniosków. - Proponuję, żebyśmy zbadali go jeszcze raz, a potem znów pomyślimy, co to może być. W końcu co dwie głowy, to nie jedna.

Idąc za nim do przedziału, w którym mieścił się szpital, myślała, że był tego dnia w doskonałym nastroju. I to pomimo faktu, że ich plany uległy niespodziewanej zmianie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami właśnie dziś powinni przenieść się w inne miejsce. Niestety, okazało się to niemożliwe. Tymczasem Jack, zamiast się ciskać, był wyraźnie zadowolony. Może swój dobry humor zawdzięcza uroczej Miriam, podszepnął jej wewnętrzny głos. I to wystarczyło, by jej nastrój natychmiast się pogorszył. Na samo wspomnienie tego, jak Francuzka wdzięczyła się do Jacka w czasie kolacji, aż zagryzła wargi ze złości. Jack wspominał niedawno, że chciałby poukładać swoje sprawy prywatne. Może wreszcie znalazł okazję, by to zrobić.

Nim doszli na miejsce, była już tak przygaszona, że nawet nie ucieszył jej widok Katu, grającej z Lesly w kółko i krzyżyk. Potulnie usiadła przy łóżku Billa, pilnując, żeby nie zdradzić się wyrazem twarzy. Wystarczyło zresztą, by spojrzała na swego nieszczęsnego kolegę, i natychmiast zapomniała o własnych problemach. Nie było wątpliwości, że przez noc stan Billa bardzo się pogorszył.

Oddychał z coraz większym trudem, a jego skóra stała się ziemista. Jednak na dobre zaniepokoiła się w chwili, kiedy Jack podał jej kartę, wynikało z niej bowiem, że w ciągu doby Billowi bardzo skoczyła temperatura. dzielnie jednak próbował nadrabiać miną, bo na ich widok wysapał:

- Co, dzisiaj całe konsylium? Sam nie wiem, czy to dobry, czy raczej zły znak.

- Oczywiście, że dobry - powiedział szybko Jack. - Ale teraz żarty na bok. Chciałbym, żebyś dzień po dniu opowiedział nam o wszystkim, co robiłeś od chwili przyjazdu do Onkamby.

- No toś mi dał zadanie - westchnął Bill. - Nie wiem, czy pamiętam choćby połowę. Tyle się przecież wydarzyło.

- Jasne. - Meg uśmiechnęła się ciepło. - Mimo to spróbujmy - zachęciła, czym zaskarbiła sobie wdzięczność Jacka. Jeszcze długo potem rozkoszowała się wspomnieniem jego spojrzenia, klnąc się w duchu za to, że tak niewiele trzeba, żeby łąsiła się do Jacka jak szczeniak do swego pana.
- W tym samym czasie Bill mozolnie odtwarzał to, co robił do tej pory. W jego opowieści nie było nic nadzwyczajnego do momentu, gdy wspomniał, jak razem z pomocnikiem poszedł się wykapać.
- Kiedy to było? - zainteresował się Jack.
- Czy ja wiem? Jakies cztery, pięć tygodni temu.
- Pamiętasz, gdzie się kąpałeś?
- Tak, w jeziorze niedaleko miejsca, z którego wyruszyliśmy. Jeden z wolontariuszy powiedział nam, że można tam popływać. Myślicie, że w tej wodzie coś było? - zaniepokoił się Bill. - Wyglądała na czystą. Dużo ludzi się tam kąpało.
- To może być klucz do naszej zagadki - oznajmił Jack, wstając. Zapytał Billa, czy wie, jak nazywa się wieś, w której stacjonowali wolontariusze, po czym zanotował nazwę. - Odpocznij, przyjacielu - powiedział, klepiąc Billa w ramię. - Skontaktuję się z twoją firmą i poproszę, żeby jak najszybciej odstawili cię do domu. Tak będzie najlepiej, choć prawdę mówiąc, nie wiem, jak sobie bez ciebie damy radę.
- Cholernie mi przykro, że was zawiodłem, ale myślę, że faktycznie będzie lepiej wrócić do Anglii - zgodził się Bill.
- Wiesz już, co mu jest? - zapytała Meg, kiedy wyszli z przedziału.
- Domyślam się - odparł. - Słyszałaś kiedyś o gorączce Katayamy?
- Coś o tym czytałam. Zdaje się, że to choroba zakaźna, przenoszona przez ślimaki.
- Brawo, zdała pani - zażartował, zaraz jednak spoważ-

niał. - To naprawdę poważna choroba, wywoływana przez pasożyty, które wraz z krwią zarażonej osoby dostają się do pęcherza i jelit. Chyba trzeba powtórzyć badanie krwi.

- To przynajmniej wiemy, czego się trzymać - rzekła Meg.

- Najgorsze jest to, że skoro Bill się zaraził, to pewnie spotkało to również wolontariuszy, którzy kąpali się w tym jeziorze.

- Faktycznie. Trzeba ich jakoś zawiadomić. Tylko jak?

- Po prostu tam pojedę-oznajmił. -Najlepiej, jeśli wyruszę natychmiast. I tak na razie tu utknęliśmy, więc powiem ludziom, że mają dziś wolne. Należy im się trochę odpoczynku.

- Tobie również - zauważyła, nie kryjąc troski. - Jak masz zamiar przejechać tyle kilometrów po tych beznadziejnych drogach? Wykończysz się!

- Nie martw się o mnie. Jestem przyzwyczajony.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, bo już miała ochotę powiedzieć mu, że nie potrafi się o niego nie martwić. Nie ma prawa tego robić, podobnie jak nie ma prawa traktować go jak swoją własność.

W ogóle zresztą nie ma do niego żadnych praw. Może jedynie bezradnie stać i patrzeć, jak odchodzi zając się tym, co jest dla niego najważniejsze.

Po jego odjeździe czas dłużył jej się niemiłosiernie. Miriam zaproponowała, żeby poszły do pobliskiej wioski, w której akurat tego dnia odbywało się wesele, ale wymówiła się tym, że ktoś musi czuwać nad Billem i Katu.

Gdy została sama, mogła bez przeszkód pograć się w swych niewesołych rozmyślaniach. Przyszło jej do głowy, że Jack na pewno skorzysta z okazji i ulegnie wdziękowi sprytnej Francuzki. Swoją drogą, czy może mieć do niego o to pretensje? W końcu sama namawiała go, by znowu za-

czał żyć pełnią życia. Zadręczała się podobnymi myślami tak skutecznie, że gdy późnym wieczorem usłyszała silnik land-rovera, była już na skraju depresji. Wzięła się jednak w garść, bo za nic w świecie nie chciała, by Jack domyślił się, jak bardzo za nim tęskniła.

Zastał ją w jadalni, pochyloną nad jakimś pismem.

- Spotkałem Lesly. Powiedziała mi, że nie chciałaś pójść z nimi do wioski - oznajmił bez żadnych wstępów.

- Ktoś przecież musiał zostać - odparła, patrząc na niego ze współczuciem, bo wyglądał na bardzo zmęczonego długą jazdą po wertepach.

- I musiałaś to być właśnie ty? - zapytał cicho.

- Zgłosiłam się na ochotnika.

- To pięknie - mruknął z ledwie wyczuwalną drwiną. - Teraz, kiedy już jestem, możesz dołączyć do reszty. Zastąpię cię na dyżurze.

- Jak chcesz - powiedziała szorstko, bo przemknęło jej przez myśl, że skoro ją wysyła do wioski, to pewnie chce zostać tu sam. Tylko po co? Wolała w to nie wnikać, podobnie jak nie chciała, żeby posądził ją o brak taktu. Dlatego bez zbędnych pytań wstała i z pochmurną miną ruszyła do wyjścia.

- Meg... - Chwycił ją za ramię i zmusił, by się zatrzymała. - Coś źle powiedziałem? - zapytał, patrząc jej niepewnie w oczy. - Tylko nie mów mi, że nic się nie stało - ostrzegł, kiedy pokręciła głową. - Znam cię i wiem, kiedy jesteś zdenerwowana.

Taki z ciebie jasnowidz! - pomyślała z ironią. Skoro taki jest mądry, to może potrafi jej wyjaśnić, dlaczego zachowuje się przy nim jak ostatnia idiotka? I dlaczego sama nie wie, co do niego czuje?

- Nie jestem zdenerwowana - odrzekła pewnym siebie tonem. - A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym wyjść.

- A ja chciałbym, żebyś powiedziała mi, co się stało.
 - Przesunął dłonią po jej ramieniu. Być może chciał ją tylko mocniej przytrzymać, ale odebrała ten gest jak pieszczotę.
 - Powiesz mi, o co chodzi?
 - Meg! Przyszłam... - Lesly stanęła w drzwiach jak wryta. - Ojej! Przepraszam, nie chciałam przeszkodzić!
 - Nie przeszkodziłaś. - Jack cofnął rękę i odsunął się na bok. - Gotowa do szalonej zabawy? - zapytał z uśmiechem.
 - Jak zawsze! Wstąpiłam tu, żeby zapytać Meg, czy na pewno nie chce z nami pójść. Jak tam, zmieniłaś zdanie? Zanim Meg zdążyła otworzyć usta, odezwał się Jack:
 - Właśnie zaproponowałem, że ją tu zastąpię, więc ciągnij ją choćby za uszy - rzekł wesoło. - A ja zaraz wezmę prysznic.
 - Wyobrażam sobie, jak cię wytrzęsło na tych wertepach.
 - Lesly pokiwała głową ze współczuciem. - Ale my tu gadu-gadu, a tam bawią się bez nas. Chodź, maleńka, idziemy zaszaleć! - zawołała, po czym wyciągnęła Meg na korytarz.
- Meg myślała gorączkowo, co ma zrobić. Rozsądek podpowiadał, że powinna skorzystać z okazji i przynajmniej na parę godzin oderwać się od myślenia o Jacku. Z drugiej jednak strony miała ochotę zostać tu, być blisko niego.
- Czekaj, Lesly! - Energicznie wyjęła dłoń z ręki koleżanki. - Zaraz do was dołączę, tylko... muszę zamienić parę słów z Jackiem. Chodzi o... Katu - improwizowała.
 - W porządku. Tylko się pośpiesz, bo ominie cię najlepsza zabawa.
 - Dobrze, dobrze. To nie potrwa długo.
- Lesly zeskoczyła na nasyp, po czym pobiegła w stronę wioski, skąd dobiegało rytmiczne walenie w bębny i wysokie dźwięki piszczałek. Uroczystości musiały trwać już na całego, więc jeśli Meg chciała cokolwiek zobaczyć, musiała

naprawdę się pospieszyć. Jednak dużo bardziej niż na zabawie zależało jej na tym, by wreszcie uporządkować sprawy z Jackiem. Raz na zawsze wyjaśnić, co do niego czuje, i co on czuje do niej. Teraz, kiedy wszyscy sobie poszli, w pociągu panowała nienaturalna cisza, przerywana jedynie cichym szumem wody w łazience. Meg słuchała przez chwilę tego odgłosu, po czym zdecydowała się zajrzeć najpierw do części szpitalnej, by zobaczyć, jak mają się Katu i Bill. Ponieważ wszystko było w porządku, nie zabawiała tam długo. Idąc znowu pustym korytarzem, zastanawiała się, od czego powinna zacząć rozmowę z Jackiem. Przecież nie mogła pójść do niego i tak po prostu zapytać, co do niej czuje. Nie była również gotowa mówić o własnych uczuciach, gdyż ciągle nie potrafiła ich określić. Nagle cały ten pomysł przeprowadzania poważnej rozmowy wydał jej się pomyłką. Co będzie, jeśli w ten sposób tylko pogorszy i tak nie najlepszą sytuację? Ogarnięta paniką, odwróciła się, by jak najszybciej uciec do swojego przedziału. Nim jednak zdążyła zrobić krok, drzwi łazienki otworzyły się i stanął w nich Jack. W ręczniku na biodrach i z kropelkami wody kapiącymi z włosów wyglądał tak, że zaschło jej w gardle.

- Meg! - zawołał zaskoczony. - Jeszcze nie poszłaś? Potrzebujesz czegoś?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Tak, ciebie!

Przez jedną, straszliwą sekundę nie była pewna, czy tylko tak pomyślała, czy powiedziała to głośno. Ponieważ Jack nie wyglądał na zszokowanego, poczuła się spokojna.

- Ja... chciałam się dowiedzieć, co ci się udało załatwić - tłumaczyła dość nieskładnie, a widząc jego zaskoczone spojrzenie, dodała: - No wiesz, jestem ciekawa, czy któryś z wolontariuszy też zachorował? I czy skontaktowałeś się z firmą Billa? Co będzie z Katu?

- Wolnego! - Obronnym gestem wyciągnął rękę. - Pozwolisz, że coś na siebie włożę, a potem wszystko ci opowiem, dobrze?

- Jasne. Może chcesz się napić kawy?

- Niezła myśl. A może przy okazji znalazłoby się coś do jedzenia? - Jego przymilny ton sprawił, że nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Zobaczymy, co się da zrobić.

- Dzięki Meg. Uratujesz mi życie. - Gdy to mówił, w jego oczach było mnóstwo ciepła, może nawet czułości. Myślała o tym, kiedy w kuchni przygotowywała mu omlet z szynką i warzywami.

- O la la! - gwizdnął, zerkając łakomie na talerz. - Co ja widzę. Hiszpański omlet!

- Nie hiszpański, tylko onkambiański - sprostowała.

- Niech sobie będzie, jaki tam chce! - Roześmiał się, biorąc do ręki widelec. - Ważne, że wygląda wspaniale.

Musiał być bardzo głodny, bo jedzenie błyskawicznie zniknęło z talerza. Nie odmówił również deseru, na który dała mu brzoskwinie z puszki. Owoce były przyjemnie chłodne.

- Mmm, psychota - mruknął, sięgając po kolejną połówkę. - Nawet nie wiedziałem, że tak bardzo chciało mi się jeść. Ale w końcu nie miałem nic w ustach przez cały dzień.

- Dlaczego? Nie znalazłeś obozowiska wolontariuszy?

- Znalazłem. Po prostu nie było czasu na jedzenie.

- I co z nimi? - zapytała, podnosząc do ust kubek kawy.

- Troje zachorowało. Objawy są identyczne jak u Billa. Dwoje jest już w tak poważnym stanie, że radziłem im odesłać ich do domu. Nie wiem tylko, czy mnie posłuchają.

- Dlaczego? - zdziwiła się. - Przecież agencja, która ich zatrudniła, nie będzie ryzykowała życia tych ludzi.

- Mam nadzieję. Ale czułem się fatalnie, że muszę ich tam zostawić w sytuacji, gdy wymagają pomocy. Wprawdzie zostawiłem im lekarstwa, ale powinien być z nimi lekarz.

- Daj spokój. - Popatrzyła na niego ze współczuciem. - Przecież nie możesz być w dwóch miejscach. A teraz jedz.

- Tak jest, siostró. - Ciepłe spojrzenie złagodziło nieco ironię, z jaką to powiedział. - Brzoskwinie są naprawdę przepyszne. Może się skusisz?

- Nie, one są dla ciebie - zaprotestowała, jednak po chwili zmieniła zdanie. - Może jednak spróbuję... Pochyliła się nad stołem i rozchyliła usta, w które on ostrożnie wsunął cząstkę owocu. Brzoskwinia była bardzo dojrzała i soczysta, a przy tym cudownie chłodna. Gdy ją rozgryzła, kropelka soku pojawiła się w kąci jej ust i popłynęła w dół, więc czym prędzej sięgnęła po chusteczkę.

- Poczekaj! Pozwól, ja to zrobię.

Opuszką palca delikatnie starł sok, a potem wolno podniósł dłoń do ust i zlizął słodką smuzkę. W tym momencie było tyle erotyzmu, że zareagowała na to jak na wyrafinowaną pieszczotę. Przyjemne pulsowanie, które pojawiło się okolicy serca, szybko powędrowało w dół. Doznanie było tak niesamowite, że skupiła się na nim całkowicie. Widziała, że Jack coś do niej mówi, ale nie docierała do niej sens jego słów. Zamiast słuchać, myślała o tym, że nigdy dotąd nie czuła podobnego podniecenia. A przecież ledwie jej dotknął...

Z trudem udało jej się wrócić na ziemię. Jack mówił coś i wyraźnie czekał na jej reakcję. Zdawało jej się, że wspomniawszy coś o Billu, więc na chybił trafił powiedziała:

- Więc mówisz, że udało ci się skontaktować z jego firmą. - Głos zabrzmiał ochryple, bo zaschło jej w gardle. Jack spojrzał na nią, ale zaraz odwrócił wzrok. Mimo to zdążyła dojrzeć w jego oczach prawdziwy żar.

- Tak, rozmawiałem z jego pracodawcą - mówił, zerkając gdzieś w bok. - Załatwię mu transport powietrznym ambulansem. A my przy okazji uporamy się z jeszcze jednym problemem.

- Jakim? - zapytała, próbując zignorować napięcie, które narastało między nimi.

- Zabiorę Katu - oznajmił, niecierpliwie odsuwając na bok talerz z brzoskwiniami. - Rozmawiałem też z moim kolegą chirurgiem. Tak jak myślałem, zgodził się operować ją za darmo. - Z mowy jego gestów zorientowała się, że on również z trudem zachowuje spokój.

- A co z wizją dla niej?

- Nasze biuro wszystko załatwi.

- Aha - bąknęła. Rozmowa wyraźnie się nie kleiła, ale trudno, by było inaczej, skoro cały czas myślała o czymś innym.

Kiedy Jack z wściekłością odsunął krzesło i wstał od stołu, aż podskoczyła. Chciała mu spojrzeć w oczy, lecz uciekł wzrokiem w bok. Zdawało jej się, że znowu odgradza się od niej murem obojętności. Wewnętrzny głos podpowiedział jej, że jeśli mu teraz na to pozwoli, na pewno go straci. Niewiele myśląc, poderwała się z miejsca, zdeterminowana, żeby wytłumaczyć mu, jak bardzo się myli.

- Jack, posłuchaj. Ja...

- Jestem zmęczony - przerwał jej w pół słowa. - Chyba nie będziesz mi miała za złe, jeśli się położę. Spokojnie możesz pójść do wioski. Nastawię sobie budzik i za jakiś czas zajrzę do Billa i Katu.

- Rozumiem. - Roześmiała się z przymusem, zła, że zdradza się ze swym rozczarowaniem. - Nie musisz wstawać, boja się nimi zajmę. Szczerze mówiąc, nie jestem w nastroju do zabawy. Śpij dobrze.

Uśmiechnęła się i czym prędzej ruszyła do wyjścia. Łzy napływały jej do oczu, więc mocno zacisnęła powieki, a przez to zaraz potknęła się o jakiś sprzęt.

- Uważaj! - Mocno chwycił ją za ramię i niespodziewanie przyciągnął do siebie. - Nie wiem, jak to robisz, ale przez ciebie ciągle chodzę wściekły - powiedział gniewnie. - Budzą się we mnie uczucia, z którymi dawno już się pożegnałem.

- Jack... - szepnęła.

- Meg! - Uśmiechnął się, naśladowując jej głos.

Ujął jej twarz w dłonie i palcami otarł łzy. Wstrzymała oddech, w napięciu czekając na to, co się za chwilę stanie. Już pierwszy pocałunek sprawił, że ogarnęła ją fala przyjemnej rozkoszy. Mocno objęła go za szyję, prowokując do jeszcze bardziej namiętnych pocałunków. Jego dłonie, coraz bardziej niecierpliwe, wędrowały wzdłuż jej bioder i talii, aż

dotarty do piersi. Pieszczotliwe palce wsunęły się pod biustonosz i mocno przywarły do gładkiej, rozgrzanej skóry.

- Meg... - wyszeptał. - Wiesz, czym to się skończy...

- Tak...

Podniósł ją i wziął na ręce. Przez ciemny korytarz poszedł do swego przedziału, gdzie delikatnie postawił ją na podłodze, w samym środku niewielkiej plamy księżycowego światła. Drżącymi palcami rozpięła mu koszulę i zsunęła z ramion. Przytuliła się do niego, z rozkoszą chłonąc świeży zapach jego skóry. Nie pozostał jej dłużny i szybko wyswobodził ją z ubrania.

- Jesteś taka piękna - szeptał, wodząc po niej zachwyconym wzrokiem. - Wiedziałem, że taka będziesz...

Z westchnieniem objął ją i tulił do siebie, jakby była bezcennym skarbem. Właśnie wtedy, w tej jednej magicznej chwili zrozumiała, że go kocha. Ogarnęło ją tak ogromne wzruszenie, że natychmiast zapragnęła powiedzieć mu, co do niego czuje.

- Jack - zaczęła ledwie słyszalnym głosem. - Ja...

- Jack! Jesteś tam?

Głos Miriam zabrzmiał jak zgrzyt metalu o szkło. Meg wstrzymała oddech w pełnym napięcia oczekiwaniu na reakcję Jacka. Miała nadzieję, że zignoruje Francuzkę albo każe jej iść do diabła. Ze też musiała tu przy leżać akurat teraz!

Niestety, nastrój prysł. Jack odsunął się od niej, choć jego oczy mówiły jej, że podobnie jak ona przeżył ogromne uniesienie. Fakt, że zdołał tak szybko się otrząsnąć, zabolął ją chyba najbardziej.

- Pójdę zobaczyć, czego ona chce - powiedział, nie patrząc jej w oczy.

- Jasne. - Odwróciła się do niego plecami i nagle zawstydzona swoją nagością, pospiesznie wciągnęła koszulkę.

- Wszystko w porządku? - zapytał trochę sztucznie.
- Owszem. Dlaczego miałoby nie być?
- Tak tylko pytam - stwierdził i wzruszył ramionami. Już miał odsunąć drzwi przedziału, gdy jeszcze raz spojrzął na nią i powiedział: - Jeśli chodzi o to, co się przed chwilą stało...
- Nie przejmuj się tym. Ja nie zamierzam.
- To dobrze. - Ostatni krótki uśmiech, i zniknął w mrocznym korytarzu. Ona zaś chwilę jeszcze stała bez ruchu, po czym zaczerpnęła głęboko powietrza i wolno zamknęła drzwi. Potem podeszła do okna i zapatrzyła się w czarną noc.

To, że właśnie teraz zrozumiała, iż go kocha, wydało jej się zwykłą ironią losu. Bo przecież mogło ją olśnić każdego innego dnia, podczas pracy albo wspólnego posiłku. Być może wtedy mogłaby próbować tłumaczenia, że jej się tylko zdawało, że coś sobie ubzdurała. I może nawet udałoby jej się w to uwierzyć. Niestety, po tym, co się przed chwilą wydarzyło, sprawa przedstawiała się beznadziejnie.

Nagle z całą ostrością dotarta do niej bolesna prawda. Jack pragnął jej tak samo mocno, jak ona pragnęła jego, lecz niestety, nie kochał jej. I nie zamierzał pokochać. Po tym, jak zaufała kobiecie i zawiódł się na niej, nie chciał ryzykować następnej pomyłki. Ta świadomość trochę poprawiła jej samopoczucie. Nigdy nie zdoła zdobyć jego miłości. I lepiej, by pogodziła się z tym już teraz, niż żeby traciła czas, robiąc sobie złudne nadzieje.

- Ludziska kochane! - zawołał Rory, zeskakując na nasyp. - Obiecuję wrócić do was najszybciej, jak się da!

Poprzedniego wieczoru zgłosił się na ochotnika, żeby jechać na nowe lądowisko, które przygotowano specjalnie dla powietrznego ambulansu. Miał tam odebrać nowego maszy-

nistę oraz pielęgniarkę, która miała opiekować się Billem i Katu podczas transportu do Anglii. Lądowisko, oddalone od pociągu o dobrą godzinę jazdy, pewnie w ogóle nie byłoby gotowe na czas, gdyby nie pomoc Richarda. Gdy dowiedział się o kłopotach z transportem, przysłał oddział żołnierzy, którzy szybko i sprawnie oczyścili pas startowy. Sam Richard przyjechał poprzedniego wieczoru, by porozmawiać z Jackiem, i w końcu został na noc. Teraz zaś stał ze wszystkimi na tylnej platformie i żegnał Rory'ego.

- Jak to dobrze, że Rory nie musi jechać tam, gdzie my wylądowaliśmy - rzekła Meg do Richarda. - W ogóle nie wiem, jak by to wszystko wyglądało, gdybyś nam nie pomógł.

- Nigdy w życiu nie dopuściłbym, żebyście jeszcze raz przechodzili wszystkie trudy podróży. - Odwzajemnił się jednym ze swych zabójczych uśmiechów. - Muszę o was dbać, bo inaczej nie będziecie chcieli już tu przyjeżdżać.

- A więc w tym szaleństwie jest metoda - skwitował Jack.

Choć sprawiał wrażenie wesołego, wyczuła, że jest spięty. Ostatnio często mu się to zdarzało. Poza tym od tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy to przeszkodziła im Miriam, Jack wyraźnie jej unikał, a gdy już musieli przebywać w tym samym miejscu, odnosił się do niej z rezerwą. Dlatego, chcąc uniknąć krępującej sytuacji, przeprosiła kolegów i poszła do części szpitalnej.

Zastała tam Billa i Katu, grających w kółko i krzyżyk. W ciągu tych kilku dni, które spędzili, leżąc łożko w łożko, bardzo przypadli sobie do gustu. Bill w radością poświęcał dziewczynce każdą chwilę i z cierpliwością godną podziwu grał z nią w jej ulubioną grę, oczywiście, pozwalając jej wygrywać.

- Co tam u was? - Meg oparła się o poręcz łóżka.
 - W porządeczku - odparł Bill, lecz zaraz zrobił poważną minę i dodał: - Okropnie mi głupio wyjeżdżać. Zwłaszcza że już nic mi nie dolega.
 - Nie mów tak. - Delikatnie dotknęła jego ramienia. - To dobrze, że czujesz się lepiej, ale sam wiesz, że było z tobą krucho. Lepiej, żebyś trafił do porządnego szpitala, gdzie cię dokładnie przebadają. Z takimi chorobami nie ma żartów.
 - Masz rację. - Smutno pokiwał głową. - Ale będzie mi was brakowało. A już najbardziej tego małego diabełka, który ciągle mnie ogrywa.
- Meg popatrzyła na dziewczynkę z czułością. Katu miała się coraz lepiej i gdyby nie paskudna blizna, byłaby już prawie zdrowa. Dzięki dobrej opiece nie tylko nabrała sił, ale wręcz rozkwitła. Zupełnie nie przypominała biednej, zagłodzonej drobiny, którą znaleźli na pustkowiu. Tylko że wciąż nie było wiadomo, co z nią będzie, gdy po operacji wróci do Afryki.
- Meg myślała o tym przez cały ranek, który spędzili w pobliskiej wiosce. Jack zdecydował, że pójdą tam jeszcze raz, by pomóc tym, którzy z braku odwagi sami do nich nie przyszli. Okazało się, że było to doskonale posunięcie, bo faktycznie mieli więcej pacjentów, niż się spodziewali. W większości opatrywali wrzody i czyraki, które w wyniku biedy i brudu były tu prawdziwą plagą.
- Warunki są dużo gorsze, niż sądziłem - przyznał Richard, który postanowił im towarzyszyć. - I dlatego mam coraz większe wyrzuty sumienia, że tak długo mieszkałem za granicą.
 - Przecież i tak nie byłbyś w stanie wszystkim pomóc
 - powiedziała, myjąc ręce przed przyjęciem następnej osoby.
 - Jak długo rządził poprzedni przywódca? - zapytała.

- Ponad piętnaście lat. - Na twarzy Richarda pojawił się grymas niechęci. - Był moim stryjem. Niestety, nie był ani dobrym przywódcą, ani człowiekiem. Właściwie wcale nie chciałem tu wracać - wyznał, stając w progu chaty. - Dobrze mi było w Anglii, miałem tam swoje sprawy, fajne życie.

- Co się stało, że zmieniłeś zdanie?

- Och, wiele rzeczy - odparł zamyślony. - W którymś momencie zrozumiałem, że tak naprawdę nic już mnie w Anglii nie trzyma. Poza tym nie dawała mi spokoju świadomość, że ludzie w Onkambie tak strasznie cierpią. Kiedy mój stryj został odsunięty od władzy, zdecydowałem się powrócić. Niestety, do dziś jego zwolennicy polują na moją głowę.

- Co ty mówisz? - Rzuciła mu badawcze spojrzenie. - Chcesz powiedzieć, że masz wrogów? Nie miałam pojęcia, że w Onkambie istnieje opozycja przeciw twoim rządóm.

- E, to nic poważnego. W każdym razie nie zamierzam się poddawać. A teraz nie będę ci dłużej przeszkadzał, bo widzę, że masz sporo pracy. Pójdę rozejrzeć się po wiosce.

Wrócili do pociągu późnym popołudniem. W czasie drogi powrotnej Jack konsekwentnie jej unikał i cały czas rozmawiał z Lesly i Kate, omawiając z nimi przypadki, z którymi się zetknęli. Czowała się dotknięta tym, że tak jawnie ją ignorował, więc, chcąc odpędzić czarne myśli, kontynuowała wcześniejszą rozmowę z Richardem. Okazał się świetnym rozmówcą, więc bawiła się w jego towarzystwie doskonale. Dobry nastrój prysł, kiedy niespodziewanie Jack poprosił ją na słowo. Zaczekał, aż reszta zespołu weszła do pociągu, po czym odezwał się swoim najbardziej niemiłym tonem:

- Byłbym zobowiązany, gdybyś skoncentrowała się na pracy, a nie na życiu towarzyskim - stwierdził krótko. - Domyślam się, że praca przez dwadzieścia cztery godziny na

dobę to żadna rozrywka dla kobiety takiej jak ty, ale wiedziałaś, że tak będzie, i zgodziłaś się na to. W pierwszej chwili zaniemówiła z wrażenia. Życie towarzyskie? Kobieta taka jak ona? O czym on u diabła mówi? Kilka razy poruszyła bezgłośnie wargami, wreszcie odzyskała głos. I to tak skutecznie, że wrzasnęła na całe gardło:

- A ty dokąd, co?! W tej chwili stój! - Jej oczy błysnęły gniewnie, gdy napotkały jego spojrzenie. - Myślisz może, że wolno ci mówić, co ślina na język przyniesie? Chcę wiedzieć, co miałeś na myśli! Słucham!

- Tylko mi nie mów, że nie wiesz! - warknął. - I nie udawaj niewiniątka, bo znam się na takich gierkach. Oboje wiemy, że flirtowałaś z Richardem. - Roześmiał się w tak nieprzyjemny sposób, że przeszedł ją zimny dreszcz. - A ja już zaczynałem myśleć, że jesteś inna. Widać nie wszyscy uczą się na błędach.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Jak śmiesz oskarżać mnie o coś podobnego? - nacierała, zaślepiona gniewem, nie bacząc na to, że koledzy pewnie mają niezłe przedstawienie. - Wiesz, co ci powiem, panie Trent? - Stała tuż przed nim i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie mierz mnie miarką swojej byłej żony. Ja to nie ona! Pamiętaj o tym!

Nim wyrzekła ostatnie zdanie, wiedziała, że posunęła się za daleko. Ale miała święte prawo tak mu powiedzieć. Nie mógł obwiniać jej za postęпки kobiety, której nawet nie znała. Nagle pewna myśl poraziła ją tak bardzo, że aż wstrzymała oddech. A jeśli on zawsze widzi w niej swoją byłą żonę? I dlatego tamtej nocy chciał się do niej zbliżyć? Czy Alison nie napomknęła przy pierwszym spotkaniu, że ona i Briony są do siebie łudzaco podobne? To by zresztą wyjaśniało wiele spraw, począwszy od niechęci, jaką Jack żywił do niej od początku, poprzez późniejszy brak zaufania, aż do tamtej

nocy, kiedy chciał się z nią kochać. A może właściwie nie z nią, tylko z żywym wcieleniem byłej żony.

- Ja nie jestem Briony! - powtórzyła bezradnie.

- O czym ty mówisz? - Spojrzał na nią gniewnie, ale nie zamierzała przejmować się jego humorami. Za bardzo ją skrzywdził, żeby miała zwracać na to uwagę.

- Nie wiesz, o czym mówię? To pomyśl, może zgadniesz. W końcu cholernie bystry z ciebie facet.

- Nigdy nie porównywałem cię do Briony! - syknął, po czym złapał ją za rękę i odciągnął na bok, dalej od otwartych okien i drzwi. Wyrwała mu się jednak i odskoczyła w tył.

- Nie? - zapytała z ironią. - To ciekawe. W takim razie musiałam się pomylić. Co w końcu nie jest takie dziwne, bo przecież i tak wszystko robię źle, prawda?

Najpierw zaklął pod nosem, a potem odparł, wyraźnie siląc się na spokój:

- Wiesz, ty potrafisz świętego wyprowadzić z równowagi. Jeszcze raz ci powtarzam, że nigdy nie porównywałem cię do mojej żony. Takie porównanie byłoby zresztą dla ciebie zbyt obraźliwe. -

Roześmiał się cierpko. - Jesteś dziesięć razy lepsza, co ja mówię, sto razy lepsza niż Briony.

- Mówisz to poważnie?

- Oczywiście. Moje małżeństwo było fatalną pomyłką. Ale trudno, co się stało, to się nie odstanie. W każdym razie składałem przysięgę małżeńską z intencją, aby jej dotrzymać.

- Szkoda, że się nie udało...

- Nie wiem, czy szkoda. - Spojrzał na nią przelotnie, ale jego oczy były pozbawione wyrazu. - W każdym związku nadchodzi moment, kiedy trzeba zastanowić się, dokąd to wszystko zmierza. Ja i Briony bardzo się różniliśmy. Mieliśmy kompletnie inne cele, inne pragnienia. Dlatego, gdy minęło pierwsze zauroczenie i namiętność nieco przygasła,

nie zostało nam nic wspólnego. Mówiąc krótko, pasowaliśmy do siebie jak pięść do nosa.

- Nie wiedziałeś o tym, zanim zdecydowałeś się z nią ożenić? - Domyślała się, że tym pytaniem może sprawić mu przykrość, ale nie mogła się powstrzymać. - Przecież musiałeś widzieć, z kim masz do czynienia?

- Absolutnie nie! - Nerwowym ruchem przeczesał włosy. - Uważałem, że ja i Briony jesteśmy bardzo podobni. Wydawało się nam, że mamy podobny pomysł na życie -ciągnął bez emocji, zupełnie jakby opowiadał o kimś innym, a nie o sobie samym. - Poznałem ją podczas pokazu mody zorganizowanego przez naszą agencję. Chcieliśmy w ten sposób zebrać fundusze. Briony była jedną z gwiazd, które zgodziły się wziąć w tym udział.

- I nie przyszło ci do głowy, że sławna modelka obraca się w innym świecie niż ty? - Nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Nie. Briony zachowywała się tak, jakby fascynowało ją to, co robię. Zadzwoiła do mnie po pokazie, poszliśmy na jedną kolację, potem na drugą. I nim minął miesiąc, planowaliśmy ślub.

- Chcesz powiedzieć, że twoja żona nie była z tobą szczerą? Że udawała zainteresowaną twoją pracą, a tak naprawdę pragnęła innego życia?

- Nie, tego nie powiedziałem. Myślę, że prawda jest bardziej złożona. Briony należy do osób, które bardzo łatwo zapalają się do pewnych pomysłów i równie szybko tracą zainteresowanie. Taki słomiany ogień. Nabiła sobie głowę, że będzie pomagać tym, którzy mieli mniej szczęścia niż ona. I bardzo chciała to robić, tyle że rzeczywistość ją po prostu przerosła. - Roześmiał się sucho. - Powinienem był się domyślić, że tak będzie. Niestety, akurat wtedy nie patrzyłem zbyt trzeźwo na świat, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

Rozumiała, i to aż za dobrze. Świadomość, że kochał inną kobietę tak mocno, że aż bezkrytycznie, sprawiła jej ogromny ból. Chwilami nie wiedziała, czy powinna tamtej zazdrościć, czy jej nienawidzić. Niestety, przeszłość była przeszłością, i nic już nie było w stanie jej zmienić.

- Dlaczego mówisz, że rzeczywistość ją przerosła? - spytała zaintrygowana. - Zabrałeś ją na którąś ze swoich misji?

- Tak się złożyło, że musiałem wyjechać w niecały miesiąc po ślubie. Briony uparła się, że pojedzie ze mną. Już wtedy zaczynałem podejrzewać, że nie jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Zgodziłem się ją wziąć do Afryki. Miałem nadzieję, że ten wyjazd pomoże nam się odnaleźć, zbliżyć do siebie. Łudziłem się, że kiedy Briony zobaczy na własne oczy, jak wygląda moja praca, łatwiej zrozumie, dlaczego to jest dla mnie takie ważne. Niestety, ten wyjazd już od samego początku był katastrofą. Briony męczyła się okropnie. Nie mogła znieść upału, brudu, tych wszystkich nieszczęść i chorób, które rodzą się ze skrajnej biedy. Po tygodniu wróciła do Londynu. I to był początek końca naszego związku.

- Współczuję ci z całego serca. Domyślam się, że było to dla ciebie bardzo bolesne - rzekła" łagodnie, zdając sobie sprawę, że to, co mówi, jest trochę bez sensu. Ale, z drugiej strony, co można powiedzieć w takiej sytuacji?

- Było bolesne, nie przeczę. Tylko że postanowiłem potraktować to jak cenną lekcję - wyznał, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i zakończył: - Od tamtej pory wiem, że w moim życiu nie ma miejsca dla żadnej kobiety. Nie mam prawa od nikogo wymagać, żeby godził się na takie życie. Bezbłędnie odczytała jego intencje. W ten sposób dawał jej do zrozumienia, że nic ich nigdy nie połączy. Mimo to postanowiła jeszcze raz mu powiedzieć, że się myli.

- Chyba zapominasz o tym, że nie wszystkie kobiety zareagowałyby tak jak Briony. Ja bym na pewno nie uciekła.

Popatrzył na nią czule, bodaj pierwszy raz tak otwarcie pokazując, co odczuwał.

- Wiem, że ty byś nie uciekła - powiedział z ciepłym uśmiechem - tylko że ja już nie chcę ryzykować. Życie, jakie wiodę, nie służy budowaniu trwałych związków. Długie rozstania nikomu nie wychodzą na dobre, a nie sądzę, żeby jakaś kobieta zgodziła się na ciągłe podróże, które oznaczają życie na walizkach. Nie chcę nikogo narażać na niepotrzebny stres.

Wiedziała, że nie ma o czym dalej dyskutować. Cokolwiek by powiedziała, on i tak wie swoje i najwyraźniej nie zamierza zmieniać decyzji. Stała więc na z góry przegranej pozycji.

Odwróciła się i poszła przed siebie, nie patrząc nawet dokąd. Nie zareagowała, gdy ją zawołał, nie obejrzała się za siebie. Ból kompletnie ją przytłoczył. I co z tego, pomyślała z goryczą, że nie porównywał jej do Briony, skoro i tak oceniał ją przez pryzmat zachowania tamtej? Jakie to szczęście, że nie zdążyła mu powiedzieć, że go kocha! Przynajmniej nie będzie musiała leczyć zranionej dumy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Rory wrócił na pokład „Anioła”, kiedy kończyli obiad. Meg już z daleka usłyszała znajomy warkot silnika, wyszła więc ze swego przedziału, by się przywitać. Nie jadła z resztą kolegów, bo nie miała apetytu, a poza tym nie czuła się na siłach stanąć twarzą w twarz z Jackiem. Postanowiła odczekać, aż minie największe rozczarowanie i gorycz.

- Cześć pracy! - powitał ją Rory wesoło, a widząc, że pozostali także zaczynają wychodzić na platformę, zawołał z przejęciem: - Hej, ludzie, nawet nie wiecie, jaką mam dla was niespodziankę! Wsiadł z samochodu i z wyszukaną galanterią otworzył drzwi po stronie pasażera, po czym pomógł wsiąść wysokiej, młodej brunetce.

- Yvonne! - zawołały Lesly i Kate i pobiegły uściskać koleżankę.

- A co ty tu robisz? - pytała Kate. - Podobno jesteś ciężko chora.

- Byłam - sprostowała Yvonne - ale już wyzdrowiałam. Kiedy dowiedziałam się, że w dalszym ciągu szukają pielęgniarki, od razu się zgłosiłam - wyjaśniła, a widząc Meg, podeszła do niej, by się przedstawić: - Witam cię, jestem Yvonne Flemming. Domyślam się, że ty jesteś tą nieszczęsną duszą, która musiała mnie zastąpić. Przepraszam za całe zamieszanie.

- Ależ nie ma za co! - Meg z uśmiechem podała jej rękę.
 - Cieszę się, że już jesteś zdrowa.
 - Tak... To nie było nic poważnego - odparła Yvonne z roztargnieniem. Meg zorientowała się, że dziewczyna patrzy ponad jej głowę na kogoś, kto musiał pojawić się na platformie.
 - Witaj, Yvonne. Miło cię znowu widzieć. - Głos Richarda nie zdradzał żadnych szczególnych emocji.
 - Ciebie również. - Na twarzy Yvonne natychmiast odmalowała się cała gama uczuć. Meg nie musiała już o nic pytać. Wystarczyło, że spojrzała w oczy młodej kobiety, i mogła w nich czytać jak w księdze. Niestety to, o czym opowiadały, było historią smutnej, niespełnionej miłości. Instynktownie poszukała wzrokiem Jacka. Patrząc, jak wita się z nowym maszynistą, myślała o tym, że będzie jej bardzo trudno przeżyć tych kilka tygodni do wyjazdu. Teraz, gdy zrozumiała, że go kocha i że nie ma szans na wzajemność, przebywanie tak blisko niego było wyjątkowo trudne i bolesne.
 - Słuchajcie! - zawołała Lesly, biorąc Yvonne pod rękę.
 - Chyba nie będziemy tak stać na tym upale. Chodźcie na herbatę.
- Roześmiana grupa weszła do pociągu i zniknęła w części mieszkalnej. Meg nie miała jakoś ochoty na towarzystwo, dlatego zamiast do kuchni, poszła do szpitala, by przygotować Billa i Katu do podróży. Powietrzny ambulans miał wystartować jeszcze tego samego dnia, więc nie mieli zbyt wiele czasu.
- Bill brał prysznic, więc mogła spokojnie zająć się Katu. Tymczasem okazało się, że dziewczynka ma gościa. Obok jej łóżka siedział Richard i rozmawiał z nią w jej rodzimym języku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że mała jest

bardzo szczęśliwa, iż wreszcie może się z kimś swobodnie porozumieć.

- Tak miło widzieć ją uśmiechniętą - powiedziała Meg i zakrzętała się przy łożku. - Biedulka, cieszy się, że ma wreszcie z kim pogadać.

- To wyjątkowo dzielna istotka. - Richard pogłaskał Katu po głowie. - Nie wiem, czy dorosły byłby w stanie przetrwać w takich warunkach - skonstatował ze smutkiem.

Ponieważ dziewczynka zaczęła coś mówić, pochylił się nad nią i słuchał. Po chwili pokiwał głową i odwrócił się do Meg.

- Katu chciałaby, żebyś zatrzymała ten rysunek - oznajmił, wręczając jej kartkę. - Ta postać w środku to ty.

- Dziękuję ci, skarbie. - Meg przytuliła dziewczynkę. - Powiedz, czy mi się zdaje, czy naprawdę mam na tym rysunku skrzydła?

- Zgadza się - wtrącił się Richard. - Popatrz, ta mała postać na dole to Katu leżąca wśród skał.

Mówiła mi, że okropnie się bała, ale wtedy zjawiałaś się ty i uratowałaś ją. Powiedziała mi - ciągnął, uśmiechając się do dziecka - że poczuła dotyk anioła, a tym aniołem byłaś ty.

- Nie wiem, co powiedzieć - szepnęła Meg, czując pod powiekami łzy wzruszenia. - To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam. Dziękuję ci, maleńka.

Richard przetłumaczył jej słowa dziewczynce, a kiedy ta zabrała się znowu do rysowania, zwrócił się do Meg:

- Wiem od Jacka, co się przydarzyło temu biednemu dziecku. Wiem, że została sierotą.

- No właśnie - przytaknęła. - Bardzo się o nią martwię. Próbujemy załatwić prawo do opieki, ale nie wiem, czy nam się uda.

- Postaram się jej pomóc tutaj, na miejscu - oznajmił

Richard i popatrzył na dziewczynkę z dojmującym smutkiem. - Mam obszerny dom - dodał po chwili - więc kiedy Katu wróci z Anglii, zamieszka ze mną. Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek założył rodzinę, więc w pewnym sensie ja i Katu pomożemy sobie nawzajem. No, na mnie już pora - stwierdził krótko, wstając z krzesła. - Obowiązki wzywają
- dodał z lekką ironią, po czym wyszedł z przedziału.

Odjechał krótko potem, tłumacząc się nawałem spraw. Wśród osób, które go żegnały, nie było Yvonne. Nikt tego nie komentował, ale Meg miała wrażenie, że wszyscy doskonale wiedzą, o co chodzi. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym głębiej, bo Jack oznajmił, że chce zaraz odwieźć chorych do samolotu. Wszyscy rozeszli się więc do swych zajęć i spotkali się dopiero w chwili, gdy karetka była gotowa do odjazdu.

Meg bardzo chciała podarować coś Katu. Jediną rzeczą, jaka mogła spełnić rolę pamiątki, był srebrny wisiołek, który dostała od matki na gwiazdkę. Podarowała go więc dziewczynce razem z łańcuszkiem.

- Bądź dzielna, dobrze? - poprosiła, wieszając go małej na szyi. Kiedy pochyliła się, żeby ją ucałować, z trudem hamowała łzy. Odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla Lesly i Kate, które także chciały uściskać swoją ulubienicę. Pewnie udałoby jej się zapanować nad wzruszeniem, gdyby nie słowa Jacka:

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Skutek był taki, że dopiero wtedy rozplakała się na dobre. Czuła się tak rozbita, że nawet nie protestowała, kiedy Jack odprowadził ją na bok, dalej od reszty kolegów.

- Uspokój się. Nie płacz - poprosił. - Richard obiecał mi, że zajmie się Katu i dopilnuje, żeby nie stała jej się krzywda.

- Wiem - chlipała bezradnie, czując, że robi z siebie przedstawienie. Nadmiar emocji, nie tylko tych związanych z odjazdem Katu, przytłoczył ją i sprawił, że przestała nad sobą panować. Przez ostatnie dni zebrało się ich tak wiele, że musiały w jakiś sposób znaleźć ujście. - Wiem, że Richard się nią zajmie - powtórzyła. - Powiedział mi o tym przed odjazdem.
- W takim razie nie ma o co histeryzować. - W mgnieniu oka zmienił ton. - Weź się w garść - rzucił sucho, po czym ruszył w stronę pozostałych.
- Co cię znowu ugryzło? - zawołała za nim, kolejny raz zbity z tropu. Kiedy zaczął zaprzeczać, przerwała mu:
 - Tylko mi nie mów, że nic się nie stało. Przecież widzę, że jesteś zły.
 - Nie jestem - powtórzył uparcie. - Chciałbym ci tylko uświadomić, że Richard i tak ma wystarczająco dużo problemów.
 - Wystarczająco dużo problemów... - Popatrzyła na niego pytająco, a gdy wreszcie dotarł do niej sens jego słów, aż zatrzęsała się z gniewu. - Dziękuję za ostrzeżenie. Rozumiem, że powiedziałaś to z troski o moje dobro - rzekła chłodno. - A teraz posłuchaj. Jeszcze raz powtarzam, że nie jestem zainteresowana Richardem. A w każdym razie nie w takim sensie, jaki sugerujesz.
 - Na podstawie tego, co widzę, jakoś nie chce mi się w to wierzyć.
 - Więc spraw sobie okulary, bo najwyraźniej wzrok cię zawodzi - rzuciła, dotknięta do żywego niesłusznymi osądzeniami. - Chyba nie jesteś zazdrosny? - zadrwiła, wiedząc, że trafia w czuły punkt. - Oczywiście, że nie jesteś. Przecież powiedziałaś mi, że nie interesują cię bliższe związki. Dlaczego więc obchodzi cię, co robię i z kim?

- Nie obchodzi mnie to, co robisz, tylko dobra atmosfera w zespole - wyjaśnił, posyłając jej ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło, że nie powinna przeciągać struny. Zignorowała to jednak, świadoma faktu, że może później wszystkiego żałować.

- Ach, rozumiem, dobra atmosfera w zespole - powtórzyła, przedrzeźniając jego ton. - Więc jestem dla ciebie jeszcze jednym członkiem zespołu? I nikim więcej? Nawet nie zasługuję na to, żeby uchodzić za kopię twojej żony. A może jednak potraktowałeś mnie jak środek zastępczy, co? Przecież ciągle oskarżasz mnie o te same grzechy, które popełniła twoja Briony! Spojrzał na nią w taki sposób, że ugięły się pod nią kolana. Mimo to nie pisnęła słówka, kiedy mocno chwycił ją za ramiona i powiedział, z trudem hamując wściekłość:

- Do diabła z tobą, Meg! Jak możesz...

Urwał gwałtownie, bo gdzieś niedaleko podniósł się tumult. Wśród krzyków jakichś ludzi wyraźnie dało się słyszeć krótkie serie z karabinu i pojedyncze wystrzały.

- Co tam się stało, do cholery? - Zaniepokojony, puścił ją i pobiegł w stronę pociągu. Ruszyła za nim, walcząc z paniką, która wbrew woli zaczynała ją ogarniać.

- Słyszałaś strzały? - zapytała zdyszana, stając obok Lesly. - Gdzie strzelali?

- Gdzieś tam, w tamtej kępie drzew. Boże, znowu! - jęknęła kobieta, kiedy rozległa się następna seria.

- Wszyscy do pociągu. Natychmiast - wołał tymczasem Jack. - Pozamykać wszystkie okna i drzwi, zaciągnąć metalowe żaluzje. Nie mam pojęcia, kto strzelał i do kogo, ale nie ma co niepotrzebnie ryzykować. Bill, mam do ciebie prośbę - zwrócił się do mechanika. - Zorientuj się, czy nowy maszynista poradzi sobie z lokomotywą, dobrze?

- Jasne - wystękał Bill i z pomocą Rory'ego wysiadł z samochodu.

Meg razem z koleżankami przeniosła Katu z powrotem do pociągu. Nim minęło pięć minut, silnik poszedł w ruch i z każdą chwilą nabierał mocy. Już mieli ruszyć, kiedy Guy usłyszał jakiś hałas na zewnątrz. Ostrożnie zerknął przez małą szparę w żaluzjach.

- Od strony zarośli jadą dwie ciężarówki. Boże, oni walą prosto na nas - zawołał. To wystarczyło, żeby wszyscy zaczęli tłoczyć się przy zasłoniętych oknach, próbując zorientować się, czy zbliża się przyjaciel, czy wróg.

- Rany boskie! Przecież to Richard! - Jack bez wahania rzucił się do drzwi.

Przez mały otwór pomiędzy metalowymi listwami Meg obserwowała, jak samochody hamują z piskiem opon. Z jednego z nich wyskoczył uzbrojony żołnierz, którego widziała wcześniej z Richardem. Kiedy odrzucił tylną plandekę, ujrzała pozostałych ludzi. Kilku z nich podtrzymywało słaniającego się Richarda.

- Dawajcie go do pociągu. Szybko! - krzyczał Jack, zeskakując na ziemię. Pomógł wnieść krwawiącego przyjaciela do środka, po czym natychmiast zaryglował drzwi.

- Co się stało? O Boże, co mu jest? - Yvonne z krzykiem rzuciła się w ich stronę, ale Jack jednym zdecydowanym ruchem odsunął ją na bok.

- Nie teraz - nakazał stanowczo. - Kate, leć się umyć i szybko przygotuj stół operacyjny. Meg będzie asystowała mnie, a Lesly Guyowi. Będziemy operowali jednocześnie.

Bezwłocznie pobiegli się przygotować, by już po chwili spotkać się w sali operacyjnej.

- Guy, ty zajmiesz się raną na ramieniu, a ja w udzie,

dobrze? - Jack nie chciał stracić ani jednej minuty, więc wydawał polecenia niemal w biegu. Kiedy stanęli przy stole, natychmiast przystąpił do pracy, wykonując kolejne czynności z chłodną precyzją, zupełnie jakby leżący przed nim nieprzytomny człowiek nie był dla niego kimś bliskim. Po oczyszczeniu rany okazało się, że kula utkwiała bardzo głęboko i nie będzie łatwo ją wydobyć.

- Całe szczęście, że przeszła o włos od głównej tętnicy

- mruknął. - Parę milimetrów, i byłoby po nim.

Meg nie odezwała się słowem. Skoncentrowana na tym, co robi, uważnie śledziła jego pracę, podziwiając go w duchu za fachowość i precyzję, z jaką wykonywał każdy ruch.

- Szczypce - rzucił krótko, kiedy przyszła pora na wydobycie kuli. Wyciągnął ją ostrożnie, starając się nie uszkodzić przy tym tkanki. Po chwili kawałek metalu zabrzączał o dno naczynia. - Dobrze - westchnął, przysuwając się, by otarła mu pot z czoła. - Przygotuj lekki opatrunek. Nie chcę tego zamykać, dopóki nie upewnię się, że nie ma infekcji. Mam nadzieję, że żadne inne organy nie zostały uszkodzone.

- Jak to? - zdziwiła się. - Przecież są tylko dwie rany.

- Ale przy postrzałach z broni dużego kalibru występuje silny szok pourazowy, który może poważnie uszkodzić organy wewnętrzne. Dlatego musimy go obserwować - dodał, spoglądając na Richarda. - Jak tam idzie, Guy? - zainteresował się, zerkając koledze przez ramię.

- Chyba dobrze. To moja pierwsza rana postrzałowa.

- Spokojna głowa! - Jack lekko dotknął jego ramienia.

- Znam twoją dokładność i wiem, że wszystko będzie w porządku.

Guy uśmiechnął się z wdzięcznością. Widać było, że pochwała sprawiła mu dużą przyjemność, a przede wszystkim

dzięki niej poczuł się dużo pewniej. Meg pomyślała, że Jack rzeczywiście jest genialnym szefem i kierownikiem zespołu. Jak mało kto potrafił dogadywać się z ludźmi, wiedział, jak z nimi postępować, by dawali z siebie wszystko, co najlepsze. Szkoda, że nie wykorzystywał tych cennych umiejętności w kontaktach z nią, zwłaszcza tych pozasłużbowych.

Kilkugodzinna praca u jego boku podziałała na nią terapeutycznie. Czarne myśli zniknęły na dnie duszy, a ona pozwoliła sobie spojrzeć na swoją sytuację z większym optymizmem. Może sprawa nie jest tak do końca przegrana? Może Jack mimo wszystko zmieni zdanie?

- Powiedz mi prawdę, proszę cię! - Yvonne uczepliła się ramienia Jacka. - Na pewno z tego wyjdzie?

- pytała ze łzami w oczach.

- Dobrze wiesz, że nie mogę ci niczego obiecać - odparł znużony. - Ale zapewniam cię, że rokowania są pomyślne. Najważniejsze, że udało nam się wydobyć kulę. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak spokojnie czekać - tłumaczył cierpliwie, otoczywszy ją ramieniem.

- Wiem, wiem, masz rację - szlochała. - Ale tak bardzo się o niego boję. To wszystko jest strasznie trudne - zawołała i pobiegła w stronę części szpitalnej.

- Pójdę do niej - zaofiarowała się Meg.

- Dobrze. To faktycznie bardzo ciężka sytuacja - przyznał. - Ale z drugiej strony, czy miłość kiedykolwiek bywa prosta? - zapytał, patrząc na nią znacząco.

Nie było czasu pytać go, co chciał przez to powiedzieć. Zaraz bowiem przyszła do nich Alison, ciekawa, jak się udała operacja. Meg zostawiła ją i Jacka, a sama poszła poszukać Yvonne. Znalazła ją w pomieszczeniu, które służyło za po-

czekalnię dla pacjentów. Bez słowa wzięła ją pod rękę i wprowadziła do gabinetu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała łagodnie, siadając naprzeciw niej.

- Tak. Nie. Ach, sama już nie wiem. - Yvonne uśmiechnęła się smutno. - Chwilami czuję się, jakbym była zawieszona w próżni. Nie wiem, czy rozumiesz ten stan, ale uwierz mi, że to nic przyjemnego.

- Rozumiem aż za dobrze - potaknęła, ale szybko zmieniła ton, nie chcąc obarczać Yvonne swoimi problemami.

- Chyba nie spodziewałaś się, że spotkasz tu Richarda?

- Chyba nie... - Yvonne wstała i zaczęła nerwowo krążyć po niewielkim pomieszczeniu. - Ale z drugiej strony, gdzieś w głębi duszy na to liczyłam. Kto wie, czy nie dlatego zdecydowałam się jednak tu przyjechać. A teraz, kiedy wiem, że on może umrzeć... - Płacz nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Nie wolno ci tak myśleć. - Meg otoczyła ją ramieniem.

- Wiem. - Próbowała uśmiechnąć się przez łzy. - W końcu operowało go dwóch genialnych fachowców, więc powinien z tego wyjść, nie sądzisz?

- Sądzę. Jack rzeczywiście jest doskonałym chirurgiem

- przyznała, nieświadoma, że zdradza ją ton głosu.

- Czy mi się zdaje, czy jesteś pod dużym wrażeniem Jacka? - zapytała Yvonne. - Lubisz go tylko jako szefa, czy również jako człowieka?

- Oczywiście, że lubię go również prywatnie. To naprawdę świetny facet - odparła.

Właśnie w chwili, gdy to mówiła, w drzwiach stanął Jack. Spojrzała na niego przez ramię i poczuła, jak fala gorąca zalewa jej policzki. Musiał zauważyć, że się speszyła, ale zachował się tak, jakby tego nie widział.

- Przyszedłem ci powiedzieć - zwrócił się do Yvonne - że Richard odzyskał przytomność i pytał o ciebie.

- Naprawdę?! W takim razie już do niego idę.

Po jej wyjściu w gabinecie zapadła pełna napięcia cisza. Meg zdecydowała się coś powiedzieć dokładnie w tej samej chwili co Jack. Rezultat był taki, że znowu obydwójce zamilkli.

- Ty pierwsza - powiedział w końcu Jack.

- Nie, to nie było nic ważnego - wykręciła się. - Teraz mów ty.

- Dobrze. Chcę cię przeprosić. Za to, co mówiłem o tobie i Richardzie. To oczywiste, że nie miałem racji. Nie wiem, co mnie napadło.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo miałaś rację - wyznał, wyraźnie skrępowany.

- Kiedy?

Nie odpowiedział od razu. Po wyrazie jego twarzy zorientowała się, że zmagił się z samym sobą. Kiedy się wreszcie przemógł, jego odpowiedź kompletnie ją zaskoczyła.

- Miałaś rację, mówiąc, że byłem zazdrosny - rzekł z wyraźnym zniecierpliwieniem, jakby złościło go, że musi się przyznać do własnej słabości.

- Naprawdę byłeś?!

- Tak! Przecież mówię. - Wbił ręce w kieszenie spodni i zapatrzył się okno, mimo że nie mógł nic przez nie zobaczyć.

Za to ona poczuła nagły przyływ radości. Nie chciała się śmiać, ale zrobiło jej się tak lekko na duszy, że kąciki ust bezwiednie uniosły się do góry.

- I z czego się śmiejesz? - spytał urażony.

- Nie wiem. Tak jakoś... - bąknęła, walcząc ze sobą, bo niewiele brakowało, a zaczęłyby się śmiać w głos. Czuła

się tak, jakby łaskawy los podarował jej najbardziej pożądaną prezent. Jack był o nią zazdrosny! A więc jednak coś czuł!

- Naprawdę nie rozumiem, co cię tak bawi - ciągnął rozdrażniony. - Nigdy przedtem nie byłem zazdrosny i zaręczam ci, że zrobię wszystko, żeby już nigdy mi się to nie zdarzyło.

Uśmiechnęła się do niego czule, bo do głębi wzruszył ją tym wyznaniem. Silny, zdecydowany, odpowiedzialny facet, który nie umie sobie poradzić ze zwyczajną ludzką słabością.

- Ja też mam nadzieję, że nigdy już nie będziesz musiał być zazdrosny - odezwała się cicho, a zebrawszy się na odwagę, dodała: - Jeśli o mnie chodzi, to nie masz powodu czuć się zagrożony. Ani przez Richarda, ani przez kogokolwiek innego.

- Naprawdę? - W jego spojrzeniu dostrzegła bezradność, za którą, gdyby to było możliwe, pokochałaby go jeszcze bardziej.

- Naprawdę! - powtórzyła z mocą.

Tak bardzo chciała, by jej zaufał, by zechciał przyjąć to, co miała do zaoferowania. Zeby spróbował uwierzyć w ich wspólną przyszłość - radosną, szczęśliwą, pełną wspólnych planów i marzeń.

- Błagam cię, zrozum wreszcie, że nie jestem podobna do Briony! - poprosiła, patrząc mu prosto w oczy. - Ja i ona to dwie różne osoby. Nie widzisz tego?

Przez chwilę patrzył na nią w napięciu, a jego oczy mówiły jej to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć. Kiedy się jednak odezwał, ton jego głosu nie pozostawiał żadnych złudzeń:

- Oczywiście, że nie jesteś taka jak ona. - Wyciągnął rękę

i czule dotknął jej policzka. - W rzeczywistości jesteś jej całkowitym przeciwieństwem - powiedział, cofając dłoń. - Nie wiesz nawet, jak bardzo żałuję, że nie spotkałem cię wcześniej. To jednak niczego nie zmienia, bo przeszłości nie da się wymazać. Mogę tylko nie popełniać dwa razy tego samego błędu.

Serce jej zamarło, bo teraz już nie mogła mieć wątpliwości, że zapadł wyrok na jej miłość.

- I dlatego, że raz się nie udało, chcesz do końca życia być sam? - zapytała, łykając łzy.

- Tak. - W oczach miał ból, ale jego głos zabrzmiał pewnie. - Możesz nazwać to tchórzostwem, ale wiem, że tak będzie dla mnie lepiej. W miłości nie ma nic pewnego. Nawet największa może się nagle skończyć. A ja nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić.

Bezszelestnie rozsunął drzwi i wyszedł na korytarz. Nie próbowała go zatrzymać, bo wiedziała, że nie ma to sensu. Nie było bowiem w ludzkiej mocy zmusić do kochania kogoś, kto raz na zawsze wyrzekł się miłości.

- Zaczaili się na nas wśród drzew - relacjonował Richard, co chwila robiąc przerwę dla nabrania oddechu. - Moim ludziom udało się ich rozbić, więc myślę, że nie będziemy już mieli problemów z ich strony.

Cały zespół zebrał się po kolacji przy jego łóżku i teraz wszyscy słuchali go w skupieniu, nie mogąc się przy tym nadziwić, jak prędko odzyskał siły. Mogli się tylko domyślać, że ta cudowna poprawa zdrowia była możliwa dzięki obecności Yvonne, która ani na moment nie odchodziła od łóżka chorego. Trzymała go cały czas za rękę i co chwila zaglądała w oczy, jakby chciała go w ten sposób upewnić, że już nigdy nie zamierza go opuścić. Wiadomo było, że wcześniej ona

i Richard długo ze sobą rozmawiali i pewnie wyjaśnili sobie wiele spraw.

Meg ze smutkiem obserwowała, jak wymieniają rozkochane spojrzenia. Ona sama nigdy dotąd nie czuła większego ciężaru na sercu. Bliskość Jacka była teraz dla niej wyjątkowo trudna do zniesienia. W pewnej chwili zrozumiała, że w tej sytuacji nie będzie w stanie nadal z nim pracować ani żyć pod jednym dachem. Z przerażeniem myślała o tygodniach, które dzieliły ją jeszcze od powrotu.

Cierpiała tak bardzo, że postanowiła znaleźć sposób, by opuścić szpital dużo wcześniej. Żeby już więcej o tym wszystkim nie myśleć, odwróciła się do Jacka plecami i próbowała skupić się na tym, co mówił Richard:

- Nie chciałbym was niepotrzebnie narażać, dlatego zdecydowałem, że do końca pobytu będziecie mieli uzbrojoną eskortę.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne? - Jack wyraźnie nie był zachwycony tym pomysłem. Widząc jednak, że Richard skinął głową, dodał pojednawczo: - No cóż, ty tu rządzisz, więc będzie, jak chcesz. A co wy o tym myślicie? - zapytał kolegów. - Jeśli ktoś chciałby się teraz wycofać, niech mówi śmiało. Rozumiem, że nikt tu nie przyjechał ryzykować życia.

Zaprzeczyli zgodnym chórem, za co Richard podziękował im gorąco.

- Nie potrafię nawet wyrazić swojej wdzięczności za to, co robicie dla mieszkańców Onkamby - mówił poruszony.

Chwilę potem zaczęli się rozchodzić, świadomi, że chory musi odpocząć. Kiedy Meg zaczęła zbierać się do odejścia, Yvonne zdecydowała się pójść razem z nią. Już w drzwiach posłała Richardowi pocałunek, a kiedy szły korytarzem, powiedziała:

- To był najgorszy dzień w moim życiu. Mam nadzieję, że nic podobnego więcej się nie powtórzy.
 - Wszyscy najedliśmy się strachu - przyznała Meg. - Wyobrażam sobie, co musiałaś czuć, widząc Richarda w takim stanie. Wygląda na to, że jakoś udało się wam porozumieć?
 - To prawda. Szkoda tylko, że musiała wydarzyć się taka tragedia, żebyśmy zrozumieli, że nie umiemy bez siebie żyć - rzekła Yvonne z goryczą.
 - Powiedz mi - poprosiła Meg, gdy wyszły na tylną platformę, by zaczerpnąć powietrza - jeśli oczywiście nie jest to zbyt osobiste, co was rozdzieliło?
- Yvonne zapatrzyła się w dal. Wyglądała tak, jakby chłoneła spokój wieczornego krajobrazu, który rozciągał się po obu stronach torów.
- Co nas rozdzieliło? - powtórzyła zamyślona. - Życie. Ludzie, którzy wtrącali się w nasze sprawy. Wątpliwości. Od początku wiedziałam, że kocham Richarda, ale bałam się, że to za mało, żeby stworzyć związek. Zresztą myślę, że obydwójce czuliśmy obawy i dlatego nie zrobiliśmy tego, co powinniśmy.
 - To znaczy?
 - Pobrać się, mieć dzieci - odparła Yvonne. - Podobno nigdy nie jest za późno. Mam nadzieję, że teraz już nic nam nie przeszkodzi.
 - Postanowiliście być razem?
 - Tak. - Yvonne uśmiechnęła się promiennie, ale zaraz posmutniała. - Nie wiesz nawet, jak ciężko mi będzie teraz stąd wyjechać. Richard tak bardzo mnie potrzebuje, a ja muszę wracać do Anglii. Meg wolno wyprostowała plecy. Przez chwilę obserwowała smugi dymu, które snuły się nad pobliską wioską. Wła-

ściwie natychmiast podjęła decyzję, ale nie wiedzieć czemu, chciała dać sobie jeszcze trochę czasu. Wiedziała, że kiedy klamka zapadnie, nie będzie już odwołania.

- Mam dla ciebie propozycję - powiedziała zdecydowanie. - Co ty na to, żebym cię zastąpiła?

- Chcesz zamiast mnie lecieć do Anglii? - Yvonne spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Tak.

- Czy to ma coś wspólnego z Jackiem?

- Owszem.

- Jesteś pewna, że dobrze robisz, uciekając?

- Widzisz - Meg uśmiechnęła się smutno - problem polega na tym, że Jack mnie nie kocha. Mój dalszy pobyt tutaj będzie bardzo niewygodny dla nas obojga.

- Rozumiem. Zrobisz, jak chcesz, ale nie jestem pewna, czy to jest dobre wyjście - rzekła Yvonne. - W każdym razie chętnie przyjmę twoją propozycję. Jedź, skoro musisz. Mam nadzieję, że jeszcze uda ci się dogadać z Jackiem.

- Dzięki, ale szczerze mówiąc, nie mam już złudzeń. Pewne uczucia są z góry skazane na niebyt. Po tym słowach każda poszła w swoją stronę. Yvonne pobiegła do Richarda, by podzielić się z nim dobrą wiadomością, a Meg postanowiła poszukać Jacka. Chciała bowiem jak najszybciej powiadomić go o swej decyzji.

Był w swoim przedziale, gdzie miał nadzieję trochę odpocząć. Kiedy ujrzał ją w progu, bez słowa otworzył szerzej drzwi i wpuścił ją do środka.

- Rozmawiałam przed chwilą z Yvonne - zaczęła, nie tracąc czasu na wstępy. - Zaproponowałam, że polecę zamiast niej do Anglii z Billem i Katu. Zgodziła się, więc przyszedłam ci o tym powiedzieć.

Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Jeśli właśnie tego chcesz, jedź - odparł tonem pozbawionym emocji. - Yvonne z powodzeniem może cię tu zastąpić. Zna się na tej robocie.
- Więc tylko o to chodzi? O robotę? W porządku! Odwróciła się, by wyjść, ale zatrzymały ją słowa wypowiedziane wyjątkowo ciepłym tonem.
- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś. Byłaś naprawdę wielką pomocą dla nas wszystkich. Anonimowość tej pochwały dotknęła ją do żywego. Nie odwróciła się nawet, by na niego spojrzeć. Poszła przed siebie, myśląc o tym, że jutro już jej tu nie będzie. Świadomość, że nigdy więcej go nie zobaczy, zmroziła jej serce i odebrała chęć do życia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co się stało, że wróciłaś? - Maggie wciąż nie mogła się nadziwić. - Przecież miałaś być w Onkambie całe trzy miesiące.

- Miałam, ale wróciłam wcześniej!

- Ale dlaczego?

- Bo ktoś musiał zająć się dwójką pacjentów, którzy jechali do Anglii na leczenie.

- I tym kimś musiałaś być właśnie ty? - spytała Maggie z niedowierzaniem, zupełnie jakby przeczuwała, że Meg nie mówi jej całej prawdy.

- Musiałam - powiedziała z naciskiem, po czym powtórzyła oficjalną wersję, zresztą całkowicie zgodną z prawdą. - Rozumiesz chyba, że w tych okolicznościach nie pozostało mi nic innego, jak zaproponować Yvonne, że ją zastąpię.

- Jasne, że rozumiem - przytaknęła Maggie, choć nie wyglądała na całkiem przekonaną.

Meg próbowała to zignorować, nie czuła się bowiem na siłach wyjaśnić, co naprawdę kierowało nią, gdy podejmowała decyzję o powrocie. Zresztą wspomnienia były jeszcze zbyt świeże i bolesne, uznała więc, że lepiej wszystko przemilczeć, przynajmniej na razie. Najbardziej bolało ją to, że Jack tak obojętnie przyjął wiadomość o jej wyjeździe. Pewnie w głębi ducha był jej wdzięczny, że wybawiła go z kłopotliwej sytuacji.

Żeby uniknąć ewentualnych pytań o szczegóły pobytu

w Afryce, postanowiła wykorzystać przerwę na lunch i wyjść do miasta.

- Muszę zrobić jakieś zakupy, bo mam kompletnie pustą lodówkę - tłumaczyła koleżance, sięgając po torebkę. Miała już wychodzić, kiedy nagle przypomniała sobie, że Maggie właśnie wróciła z urlopu. - Jak się udały włoskie wakacje?

- zapytała, mając nadzieję, że usłyszysz to, co zwykle, czyli że było wspaniale.

Maggie tymczasem rzuciła jej gniewne spojrzenie i uroczyła opowieścią o tym, jak to rodzina po raz kolejny próbowała ją wyswatać.

- I co, znowu wybrali dla ciebie jakiegoś zezowatego fajtlapę - rzekła Meg ze śmiechem.

- No... niezupełnie - wykrztusiła Maggie, czerwieniąc się jak piwonia.

Okazało się, że tym razem wybranek był młody, przystojny, a na dodatek bogaty.

- Więc co ci się w nim nie podobało?

- Co mi się w nim nie podobało? - zaperzyła się Maggie.

- To, że okazał się zarozumiały i arogancki. Już na pierwszym spotkaniu oznajmił mi, że nie zamierza się żenić, więc od razu mogę to sobie wybić z głowy. Czujesz to? Jakiś przemądrzały gnojek częstuje mnie takim tekstem! Mnie! Temu cymbałowi się zdawało, że jeśli jest w Ameryce wziętym chirurgiem, to już kobiety będą się o niego zabijały. Palant!

- Oho! Widzę, że pan chirurg zrobił na tobie piorunujące wrażenie.

- Zrobił, ale nie piorunujące, tylko przygnębiające. Jedynym pocieszeniem dla mnie w tej sytuacji może być to, że już go nigdy więcej nie spotkam - fuknęła Maggie, po czym z ponurą miną wypadła z dyżurki.

Meg odczekała chwilę, a potem bez pośpiechu wyszła na ulicę. Tak naprawdę nie potrzebowała niczego ze sklepu, jednak miała nadzieję, że wyprawa do miasta poprawi jej kiepskie samopoczucie. Kiedy nie miała nic konkretnego do zrobienia, zaczynała rozpamiętywać to, co się wydarzyło pomiędzy nią a Jackiem. Teraz zaś wmówiła sobie, że uliczny gwar będzie dobrym lekarstwem na jej smutki.

Poszła prosto w stronę głównej ulicy, o tej porze dnia pełnej ludzi, samochodów i spalin. Przeciskając się przez tłum przechodniów, zerknęła na ołowiane chmury, które szczelnie zakrywały niebo. Natychmiast zateęskniła za Afryką, za jej szeroką, otwartą przestrzenią, wolnością i pogodnym niebem, które witało ją każdego ranka. Szybko odsunęła od siebie te tęsknoty, wiedziała bowiem, dokąd mogą prowadzić. Zamiast tego przypominała sobie, jak wyglądał powrót do Anglii.

Pierwsze trzy dni spędziła w londyńskim szpitalu, gdzie doglądała Katu i' nadzorowała przygotowania do operacji. Dopiero, gdy upewniła się, że wszystko przebiega zgodnie z planem, wróciła do domu, czyli do Dalverston. Początkowo zamierzała odsunąć powrót do pracy o kilka dni, jednak puste mieszkanie działało na nią tak przygnębiająco, że czym prędzej zgłosiła się do szpitala. Rzeczywiście, powrót do codziennych obowiązków trochę jej pomógł, tyle że nie na długo. Myśli o Jacku dopadały ją w najmniej oczekiwanych momentach i były tak natrętne, że z trudem udawało się je odgonić.

Kiedy zegar na wieży kościelnej wybił kolejny kwadrans, postanowiła wracać. Przyspieszyła kroku, nie chciała bowiem, by ktoś musiał przez nią czekać z wyjściem na lunch. Mijała właśnie szpitalną bramę, gdy obok niej przejechał jakiś samochód. Spojrzała przelotnie na mężczyznę za kie-

rownicą i w tej samej chwili serce zamarło jej z wrażenia. Jack!

Trwało dobrą chwilę, nim odważyła się wreszcie wziąć głęboki oddech. W głowie miała kompletną pustkę, krew pulsowała w skroniach tak mocno, że aż szumiało jej w uszach. Ciągle nie była w stanie zrobić nawet kroku, więc ze swego miejsca obserwowała, jak samochód zatrzymuje się obok głównego wejścia. Jack wysiadł bez pośpiechu i spojrzał w jej stronę. A więc dostrzegł ją, a teraz wyraźnie na nią czekał.

Zmusiła się, by ruszyć z miejsca, i z ociąganiem poszła w jego kierunku. Wiedziała, że obserwował każdy jej krok. Przyglądał jej się z tym swoim pochmurnym, lekko odpychającym wyrazem twarzy, który znała aż nadto dobrze. Po co tu przyjechał? - myślała spłoszona. I czego może chcieć?

- Witaj, Meg. Co słyhać?

- W porządku. A u ciebie?

- Dobrze.

Nie był to najbardziej ekscytujący początek rozmowy dwojga niedoszłych kochanków, jednak już sam dźwięk jego głosu sprawił jej ogromną radość. Nie chciała, żeby to zauważył, więc na wszelki wypadek starała się nie patrzeć mu w oczy. A gdyby tak rzucić mu się ramiona i pocałować go? - przemknęła jej przez głowę szalona myśl. Ciekawe, jak by zareagował. Szybko doszła do wniosku, że raczej nie będzie tego sprawdzać.

- Posłuchaj, Meg, musimy porozmawiać. - Wyrzucił z siebie tych kilka zwyczajnych słów w taki sposób, jakby każde kosztowało go mnóstwo wysiłku. - Jest tu jakieś spokojne miejsce?

- Obawiam się, że nie ma. Poza tym muszę już wracać

do pracy. Zostały mi jeszcze... - zerknęła na zegarek - dwie minuty.

- W takim razie musimy spotkać się później - stwierdził. - O której kończysz?

- O piątej. Nie rozumiem tylko, po co mielibyśmy się spotykać? - zapytała, odruchowo prostując plecy. - Obydwoje wiemy, na czym stoimy. Po co więc wracać do starych spraw? Wydaje mi się, że...

- Posłuchaj - przerwał jej zniecierpliwiony - nie pokonałem tych kilku tysięcy kilometrów po to, żeby stać na dziedzińcu i wymieniać z tobą uprzejmości.

- Uprzejmości? To byłby bodaj pierwszy raz, kiedy usłyszałabym od ciebie coś miłego - zauważyła z przekąsem.

- Możliwe. Sam wiem, że za każdym razem, kiedy próbuję z tobą rozmawiać, wszystko wychodzi nie tak, jak powinno. - Uśmiechnął się do niej chytrze. - Podobno czyny mówią więcej niż słowa - dodał i chwycił ją za rękę. Nim zdążyła zaprotestować, przyciągnął ją do siebie.

Pocałunek był tak namiętny, że kompletnie straciła głowę. Dopiero po paru minutach odzyskała równowagę i spróbowała spojrzeć na niego w miarę przytomnie.

- Będę czekał tu na ciebie o piątej - oznajmił z uśmiechem, w którym widać było cień satysfakcji.

Wsiadł do samochodu i odjechał, a ona jeszcze długo stała bez ruchu, zastanawiając się, czy czasem nie śni na jawie. Ostrożnie dotknęła dłonią ust, jakby w ten sposób mogła się przekonać, czy pocałunek był prawdziwy. Niewątpliwie był, ale dlaczego się przydarzył?

W pewnej chwili odruchowo zerknęła na zegarek. Jest już spóźniona o całe pięć minut. Biegąc długim korytarzem, musiała powstrzymać się, by nie zacząć skakać ze szczę-

ścia. Czuła się jak mała dziewczynka, która jednocześnie dostała prezent na urodziny i na gwiazdkę. Kiedy pojawiła się przed wejściem dokładnie dwie po piątej, Jack już na nią czekał. Starła się uspokoić, przebierała się bowiem w takim pośpiechu, że teraz oddychała szybko jak po wysiłku. - Cześć! - Wziął ją za rękę, przytulił i delikatnie pocałował w czoło. Potem odsunął ją od siebie na wyciągnięcie ramion i popatrzył na nią wyczekująco.

Nie odezwała się ani słowem, bo wciąż była zbyt przytłoczona tym wszystkim, co się tak niespodziewanie zdarzyło. Jej milczenie musiało go zaniepokoić, bo cofnął ręce i powiedział: - A może za bardzo się pospieszyłem i zbyt optymistycznie oceniłem sytuację? Bo w końcu dlaczego miałabyś się cieszyć, że mnie widzisz? Zwłaszcza po tym, jak się wobec ciebie zachowałem.

No właśnie, przytaknęła w głębi ducha. W istocie jednak kochała go bardziej, niż byłaby w stanie wyrazić. Czekala na tę chwilę, marzyła o niej tak długo, wreszcie musiała pożegnać się ze złudzeniami. A teraz, kiedy nadszedł ów upragniony moment, nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa. W myślach mówiła do niego o tym, jak bardzo jest szczęśliwa, jak za nim tęskniła i rozpaczała nad swoją niespełnioną miłością. W rzeczywistości stała przed nim jak słup soli i wpatrywała się w niego ogromnymi, zdziwionymi oczami.

Milczenie trwało nieskończenie długo i z każdą mijającą sekundą stawało się coraz cięższe. Wreszcie Jack odwrócił od niej wzrok i, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad jej głową, powiedział matowym głosem:

- Rozumiem. Nie powinienem był tu przychodzić. Przepraszam i obiecuję, że nie będę ci się więcej narzucał.

Ruszył przed siebie szybkim, zdecydowanym krokiem, a ona patrzyła bezradnie, jak się od niej oddalał. Przerażająca myśl, że jeśli pozwoli mu teraz odejść, to na pewno straci go na zawsze, podziałała na nią jak zimny prysznic. W jednej chwili odzyskała władzę nad swoim ciałem i zawołała:

- Jack! Stój, do cholery!

Może nie był to najwłaściwszy sposób na zatrzymanie ukochanego, ale ważne, że poskutkował. Jack zatrzymał się gwałtownie, ale nie odwrócił do niej. Po prostu stał na środku jezdni z wzrokiem wbitym w czubki butów i czekał, aż ona do niego podejdzie.

Z rozmysłem szła bardzo wolno, bo rozzłościło ją, że nie podbiegł do niej z otwartymi ramionami. Wystarczyło jednak, że spojrzała mu w oczy, by zniknął gniew, a jej serce stopniało jak wosk w gorącym płomieniu świecy. Bez namysłu objęła go w pasie i przyłgnęła do niego całą sobą. Poczowała, jak zmniejsza się napięcie mięśni, jak jego ciało odpręża się, ogrzane jej ciepłem.

- Kocham cię - powiedzieli jednocześnie, po czym zamilkli tylko po to, by znowu odezwać się w tym samym momencie.

- Jesteśmy jak echo - roześmiała się cicho.

- Albo dwoje ludzi, którzy są dla siebie stworzeni - szepnął.

Kiedy ujął jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy, odczytała w nich te uczucia, których tak bardzo pragnęła.

- Kocham cię, Meg. Jechałem te dziesięć tysięcy kilometrów tylko po to, żeby ci o tym powiedzieć.

- Boże, ja chyba śnię - szepnęła przez łzy. - Uszczypnij mnie, bo nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

- Nie będę cię szczypał, bo znam dużo lepszy sposób. Musimy tylko znaleźć jakieś przytulne, spokojne miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał - szepnął, znacząco zerkając przez ramię. Kiedy się wychyliła, zobaczyła, że za jego plecami stoi co najmniej tuzin samochodów i czeka, aż łaskawie odblokują przejazd. Ponieważ za kierownicą siedzieli w większości jej koledzy, poczuła się mocno speszona. Oni tymczasem zaczęli do niej machać, trąbić i robić różne miny i gesty, z których kilka można było uznać za zdecydowanie niecenzuralne.

- No tak - powiedział, kiedy zeszli na chodnik. - Teraz nie wypada mi zrobić nic innego, jak tylko się z tobą ożenić, bo w przeciwnym razie będę miał na pieńku z całą chirurgią.

- Żebyś wiedział! - Pogroziła mu palcem. - Więc lepiej miej się na baczności!

- Obiecuję ci, że tym razem nie będę się migał - roześmiał się, otwierając przed nią drzwi samochodu. - Dokąd jedziemy?

- Do mnie.

- Rany! - mruknął, przeciągając się. - Ale masz ciasne łóżko...

- Do tej pory większe nie było mi potrzebne.

- A, to przepraszam. Już przestaję narzekać.

Otoczył ją ramionami i zaczął całować z taką pasją, jakby nie mieli za sobą długiej, miłosnej nocy. Wprawdzie w drodze do jej mieszkania postanowili od razu wszystko sobie wyjaśnić, ale skończyło się na dobrych chęciach. W chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi, rzucili się na siebie, pragnąc natychmiast zaspokoić pożądanie, które pchało ich ku sobie od tyłu miesięcy.

- Czekaaj, czekaaj. - Delikatnie oswobodziła się z uścisku. - Jak pamiętam, mieliśmy rozmawiać.
- Dobrze, rozmawiajmy - zgodził się potulnie. - Mam tylko jedną prośbę. Przestań mnie pieścić, bo jeszcze trochę, a nie będę w stanie sklecić sensownego zdania.
- Roześmiała się, całując go w ramię, po czym odsunęła się od niego, ale nie za daleko. Wciąż chciała czuć jego ciepło, słyszeć, jak bije mu serce, patrzeć, jak jego ciało odpowiada na jej czułości. W końcu czekała na tę chwilę tak bardzo długo!
- Przepraszam - szepnęła przymilnie. - Już cię nie będę rozpraszała.
- Akurat! Jesteście czarownicą, siostró Andrews.
- Ale mnie kochasz?
- Kocham, choć już od pierwszego spotkania wiedziałem, że będę miał przez ciebie kłopoty.
- Dlaczego? - Od razu spoważniała. - Bo jestem podobna do Briony?
- Nie. Szczerze mówiąc, nie widzę między wami większego podobieństwa. No, może z wyjątkiem tego, że obie jesteście pięknymi blondynkami.
- Więc dlaczego mnie odpychałeś od siebie?
- Bo przeraziła mnie moja własna reakcja. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, poczułem się zauroczony zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy poznałem moją byłą żonę. Na dodatek szybko się zorientowałem, że będziesz dla mnie dużo bardziej niebezpieczna niż ona.
- Jak to?
- To proste. Ona była tylko egocentryczną pięknoscią, ty jesteś mądrą, wspaniałą kobietą z silnym charakterem. Wiedziałem, że jeśli cię pokocham, będę stracony.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że zabrakło ci

siły woli! - zawołała ze śmiechem. - Powiedz mi, dlaczego wróciłeś. Przecież gdy powiedziałam ci, że chcę wyjechać, nawet nie próbowałeś mnie zatrzymać.

- To prawda. Jak ten głupiec sądziłem, że będzie mi to na rękę. Szybko jednak przekonałem się, że zrobiłem błąd. Nim wasz samolot zdążył się wzbić w powietrze, wpadłem w dziką wściekłość. I urządziłem ludziom takie piekło, że pewnie gdybym nie pojechał za tobą, wyrzuciliby mnie z pociągu na jakimś kompletnym odludziu.

- Wyobrażam sobie, co się tam musiało dziać!

- Oj, działo się - westchnął. - Wreszcie Richard nie wytrzymał i wziął mnie na męską rozmowę. To mi pomogło dojść z sobą do ładu. Powoli zacząłem dojrzywać do decyzji, żeby jechać do Anglii. A kiedy dowiedziałem się, że agencja planuje wysłać cię do Indii, zrozumiałem, że nie mogę zwlekać ani chwili. Nawet nie wiesz, jak bardzo się bałem, że cię stracę. - Przygarnął ją do siebie mocno i przez chwilę trzymał w ramionach, tuląc twarz do jej włosów. - Wyjdiesz za mnie?

- Pewnie, że tak! Ale pod jednym warunkiem.

- Nie strasz mnie! Jakim?

- Ze nigdy mnie nie zostawisz i że nie pojedziesz beze mnie na żadną misję. Zgoda? - zapytała, patrząc mu w oczy.

- Oczywiście! - odparł, po czym odetchnął i teatralnym gestem otarł czoło: - Uff, już myślałem, że zażadasz, żebyśmy spędzili miesiąc miodowy na Hawajach.

- Przestań! - Klepnęła go w pośladek.

- Atak swoją drogą, zapomniałem ci powiedzieć, że jutro wyjeżdżam...

- Dokąd?

- Jak to dokąd? Do Onkamby. Przecież misja jeszcze się nie skończyła.

- Nigdzie nie wyjeżdżasz, kochany - zaprotestowała, patrząc na niego srogo. - To my wyjeżdżamy!

Kiedy jest samolot?

- Za jakieś dziesięć godzin.

- Doskonale! - ucieszyła się. - A teraz, skoro już sobie pogadaliśmy, może zajmiemy się czymś innym? Szkoda tracić cenny czas, mam rację?

- Oczywiście, siostró Andrews.

- Siostró Trent.

- No tak. Siostró Trent...